



# Kamena

NR 21 (667)

19 października 1986

Cena 15 zł

## KRONIKA WYDARZEN Październik '56

W dniach 19–21 października 1956 r. obradowało VIII Plenum KC PZPR. Podjęte na nim decyzje i dokonane zmiany personalne, zwłaszcza wybór W. Gomułki na I sekretarza KC, oznaczały zasadniczy zwrot w dotychczasowej polityce PZPR. Wydarzeń październikowych nie możemy jednak ograniczyć tylko do dni, w których obradowało plenum. Miały one swoją genezę datującą się od przełomu lat 1953/1954, a następstwa ciągnęły się, oczywiście, i po październiku '56.

### 1953

- 5 marca — zmarł J. Stalin, sekretarz generalny KPZR i przywódca państwa radzieckiego.  
Czerwiec — aresztowanie L. Berii i jego współpracowników. (W grudniu został skazany przez Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego ZSRR na karę śmierci.)  
26 września — internowanie kardynała S. Wyszyńskiego.  
29–30 września — IX Plenum KC PZPR. Podjęto decyzje o zwrocie w polityce gospodarczej (usunięcie dysproporcji, przyspieszenie rozwoju rolnictwa, wzrost stopy życiowej).

### 1954

- 10–17 marca — obradował II Zjazd PZPR. Omawiano zadania gospodarcze na lata 1954–1955 oraz uchwalono nowy statut partii, w którym wprowadzono zmiany dotyczące zwiększenia kolegiałności jako naczelną zasadę pracy władz partyjnych. Przyjęto rezygnację B. Bieruta z funkcji premiera. Na stanowisko prezesa Rady Ministrów wysunięto kandydaturę J. Cyrankiewicza, który 18 marca został powołany przez Radę Państwa na szefa rządu.  
5–9 kwietnia — obrady III Kongresu Związków Zawodowych; dokonano krytycznej analizy funkcjonowania ruchu związkowego. Przewodniczącym CRZZ wybrano Wiktora Kłosiwicza.  
25 października — prasa poinformowała o ucieczce do USA wicedyrektora X Departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, płk. J. Światły (zbiegł w grudniu 1953 r. do Berlina Zachodniego).  
29–30 listopada — odbyła się narada centralnego aktywu partyjnego, podczas której dokonano ostrej krytyki działalności aparatu bezpieczeństwa i kierownictwa partii. Padły głosy domagające się wyjaśnienia sprawy W. Gomułki.  
7 grudnia — dekretem Rady Państwa rozwiązano MBP, powołując w jego miejsce Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Komitet do Spraw Bezpieczeństwa, ministrem został Władysław Wicha, a przewodniczącym komitetu — Władysław Dworakowski.  
12 grudnia — W. Gomułka, przebywający wówczas w Centralnym Szpitalu byłego MBP, został powiadomiony o uchyleniu decyzji pozbawienia go wolności.

Ciąg dalszy na str. 3



## Czas się zatrzymał we Frampolu? str. 6-7, 10

Rys. Zbigniew Cieniuch

Zygmunt Mikulski

# CHWILA OBRAZU

Drzewa przystały zatrzymane wiatrem,  
tylko jeden listek spóźnił się z szelestem.  
Kroki same idą chwiejne i uparte.  
Dlaczego ta jesień? Dlaczego ja jestem?

Zegar także idzie. Nie, to nie godziny,  
to przeszłość młodości, łyż i szczęścia na nim.  
Przechodzą, mijają zasługi i winy.  
Eli, Eli, lama sabachtani.

Wpatrzeć się spojrzeniem, milczeniem zamilknąć,  
jesień w oknach, w bramach jest już oczywista.  
A wieczność odkrywa równając ją z chwilką  
intelektualiintektualista.

To jest właśnie ta uliczka, to jest ona.  
Umknąć przed najazdem lekarskich tabliczek.  
Melodia w bezbarwnych obraca się tonach,  
linie są codzienne, sny nie tajemnicze.

Ile jeszcze było? Ile lat już będzie?  
Niech przemówi wreszcie brak trafnego słowa.  
Jesień trzyma wartę, jest w parku i wszędzie.  
I tych zdań powtórzyć nie da się od nowa.

# z notatnika

3 X. Minęła już 35 rocznica powstania Bułgarskiego Ośrodka Kultury i Informacji w Warszawie. Podczas miłej uroczystości okolicznościowy dyplom otrzymała i „Kamena”. (Dziękuję w imieniu zespołu.)

„Owocne lata” to tytuł publikacji wydanej z okazji jubileuszu przez Bułgarski Ośrodek (Sofia — Press 1986) w języku polskim. W starannie przygotowanej książeczce znajdujemy wiele interesujących tekstów, mówiących o przyjaźni między dwoma bratnimi narodami.

Ognian Todorow, dyrektor ośrodka, wspomina dawne lata, zwraca uwagę, że tomik bułgarskich pieśni ludowych pt. „Hej, lesie, lesie zielony...” w tłumaczeniu Jana Spiewaka i Anny Kamińskiej stał się swego rodzaju fenomenem, który odkrył Polakom duchowe bogactwo bułgarskiej twórczości ludowej.

Lesław M. Bartelski podkreśla, że Bułgaria stała się jego miłością od chwili poznania tego kraju jesienią 1954, kiedy to po raz pierwszy pojechał z wycieczką Orbisu (tak się dziwnie składa, że i ja po raz pierwszy byłem w tym samym roku w Bułgarii, ale z inną wycieczką). Piszę też o swoim następnym pobycie, kiedy to poznał redaktora naczelnego wydawnictwa „Narodna Kultura”, niezapomnianego Dymitra Dobrego. Dymitra i ja poznałem, ale w latach późniejszych, kiedy już był na emeryturze. Wspomniał człowieka, jego córka i syn dobrze mówią po polsku. Dymitr, niestety, już nie żyje...

O swoich wrażeniach z Bułgarii piszą również m.in. Edward Gorol, artysta rzeźbiarz, Zbigniew B. Kot, artysta plastyk, Urszula Trawińska-Moroz, śpiewaczka, Wojciech Siemion, aktor, Andrzej Wasilewski, literat. Z kolei wrażeniami z Polski dzieli się Petyr Karaangow, bułgarski poeta, którego wiersze publikowaliśmy kiedyś na łamach „Kamena”.

35 lat ośrodka już minęło. Placówka ta dobrze służy pogłębianiu przyjaźni między naszymi narodami, organizuje imprezy nie tylko w Warszawie, ale i w innych miastach polskich. Życzyć jej... „100 lat” byłoby nietaktem...

5 X. Nowo wybrany sekretariat KW PZPR w Lublinie spotkał się ostatnio z dziennikarzami prasy lubelskiej. Każdy z sekretarzy krótko omówił problemy, które znajdują się w jego gestii.

Po tym „popołudniu zapoznawczym” warto w przyszłości organizować spotkania jednotematyczne z udziałem zainteresowanych dziennikarzy. Minął, na szczęście, okres celebry, można swobodnie pogadać, a gabinetów nie strzegą groźne sekretarki... A ja tak sobie myślę: kiedyś towarzysze sekretarze byli starsi ode mnie, potem miałem już do czynienia z rówieśnikami, a dziś już jestem starszy od nich.

7 X. Jan Paweł II złożył kolejną wizytę we Francji. Nie jest to kraj, w którym katolicyzm odnosi triumfy. Tygodnik „Paris Match” pisał 8 sierpnia, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat liczba kapłanów zmniejszyła się tam o 40 tys. do 28 tys., a co trzeci kapłan ma powyżej 65 lat. Trzy czwarte dawnych parafii pozostanie wkrótce bez księży, gdyż liczba dorocznych święceń jest minimalna. W latach 1946—1964 36 proc. katolików praktykowało we Francji regularnie, dziś — 8—10 proc. W 1958 r. ponad 91 proc. dzieci było ochrzczonych, teraz chrzczeni są nieco więcej niż 67 proc. i to często dlatego, aby zrobić przyjemność dziadkom. Wskaźnik dzieci w wieku od 8 do 12 lat uczęszczających na religię nie przekracza 50 proc., a np. w Cannes na 14 600 uczniów wyższych klas licealnych i gimnazjalnych uczęszcza na katechizację tylko 300. Kościół fran-

cuski z winy wiernych znajduje się na progu bankructwa. „Przed trzema laty — pisze „Paris Match” — Kościół zmobilizował wszystkie środki przekazu, aby przypomnieć chrześcijanom, że mają obowiązek wspierać finansowo swych duszpasterzy. Apel ten poskutkował, ale tylko na krótko. Nic więc dziwnego, że księża są często ubrani jak clochardzi, że żyją niehigienicznie i niekiedy popadają w depresję lub pocieszają się alkoholem. Taka jest prawda i biskupi dobrze o tym wiedzą. [...] Fundusze zmniejszają się również dlatego, że jest coraz mniej ceremonii religijnych. Weźmy chociażby śluby — już śluby cywilne wychodzą z mody, a co dopiero mówić o ślubach kościelnych? Oto jedna z liczb: na 300 000 ślubów cywilnych w 1983 roku tylko 183 752 pary wzięły następnie ślub w kościele. [...] Młodzi ludzie wolą żyć „na kocią łapę”. We Francji 800 000 par żyje w wolnym związku. W Paryżu co piąta para nie jest małżeństwem, a co czwarte małżeństwo kończy się rozwodem [...]. Obyczaje się zmieniają. Jest więc rzeczą normalną, że zmieniają się także księża. Na trzech księżych dwóch uważa za coś zupełnie naturalnego wykonywanie jakiegoś zawodu, jak np. księży robotnicy (jest ich obecnie tysiąc), którzy pracują we wszystkich dziedzinach — w przemyśle metalurgicznym, w marynarce handlowej, w hotelarstwie, w szpitalach itp. Co się zaś tyczy owych księży, którzy biegają od parafii do parafii — niektórzy z nich obsługują aż 25 parafii, przemierzając po cztery tysiące kilometrów w ciągu miesiąca — to są już ostatni Mohikanie [...]. A co z celibatem? Jest to niewrażliwy problem, w stosunku do którego Kościół stosuje politykę uników. A przecież na pięciu księżych czterech popiera małżeństwo kapłanów. I w końcu do tego dojdzie. Kardynał Hume, prymas Kościoła katolickiego w Anglii, nie zawahał się powiedzieć niedawno: „Skoro nie ma księży, którymi można dysponować, uważam, że powinno się wziąć pod uwagę możliwość wykorzystania ludzi żonatych i wyswięcać ich na kapłanów w tych regionach świata, które odczuwają brak duszpasterzy”. Ta wypowiedź — kończy pismo — na pewno nie spodobała się w Watykanie, który w kwestii celibatu zachowuje nieprzejednane stanowisko. Zresztą kard. Hume nie jest w swych poglądach odosobniony. Wiadomo też, że niektórzy duchowni afrykańscy naruszają zasadę celibatu, a nawet radośnie uprawiają poligamię, która jest zresztą elementem obyczajów afrykańskich, i Watykan nie na to nie mówi”.

Komentarza z mojej strony nie będzie, ale dobrze wiedzieć, że różnie bywa na tym świecie i nie zawsze diabeł jest tam, gdzie go się szuka!

9 X. Autor podpisujący się FLESZ boleje na łamach „Szpilek”, że prasa u nas coraz bardziej kulturalna i już chyba tylko Passentpotrafi opentowić nawrzucać. „Jedyny polski tygodnik — stwierdza dalej FLESZ — co stale w ataku, to wrocławskie „Sprawy i ludzie”. Jego impet ujmuje co prawda w delikatny cudzysłów wyraża strategię redakcji, iżby uprawiać belum contra omnes; ale to oczywista intencja, by nikt wrocławian nie posądzał o udział w jakiegokolwiek klicie czy frakcji, nawet i sympatycznej. Podobnie jak ów niekonwencjonalny pojedynek z polską prasą, co go na drugiej kolumnie „Kamena” podejmuje

Wparcie M. A. Jaworski [...] Och, są oczywiście odważniacy, którzy podskakują i pokrzykują, ale to krzyki jawnie udane, zaplanowane na to, iżby ktoś ważniejszy odnotował te piskliwe istnienia. Tu prym wiedzie piśmiennik z Łodzi „Odgłosy”. My w „Szpilekach” zwróciliśmy na nie uwagę już w latach siedemdziesiątych, gdy Roman Gorzel-ski publikował u nas swe odważne „Listy z Łodzi”, a listy Koperskiego aż chryply od oburzonych ujadają. Tak też im i zostało. Merdniecie ogonkiem dla władzy, by zauważyła, szczęśliwie na boki, by inni odnotowali...”

Bohater komedii Mollera zdziwił się, kiedy go poinformowano, że mówi prozą, a ja zdębiałem, kiedy FLESZ mnie polecał, że na tej drugiej kolumnie „Kamena” toczą niekonwencjonalny pojedynek z polską prasą. Fakt, uszczypnięcie tego czy tamtego, ale jest to właściwie musnięcie, po którym nie ma najmniejszego śladu! Dobroć siedzi we mnie. Sama dobroć! I dlatego nigdy nie napisałbym, że „Odgłosy” to piśmiennik, w którym podskakują i pokrzykują. Kto? Może Mieczysław F. Rakowski, który drukuje co tydzień na łamach „Odgłosów” swe impresje z 1981 r.? Nie sądzę, aby wzięty publicysta, w gorącym okresie współtwórcy naszej polskiej historii, chciał się udzielać na łamach piśmiennika. Porównywanie „Odgłosów” dzisiejszych z „Odgłosami” z lat siedemdziesiątych też nie ma sensu, bo całe kierownictwo tego tygodnika zmieniło się. Myślę więc, że FLESZ zna „Odgłosy” jedynie z odgłosów, a sam ich w ręku od dawna nie miał.

Wracam jeszcze do wrocławskiego tygodnika „Sprawy i ludzie”. W ostatnim numerze znalazłem niekonwencjonalny tekst Bogdana Daleszaka pt. „Upokorzenie przy szlabanie”. Rzecz o podróżach rodaków, o tym, że zagranicznicy celnicy, z bądź co bądź zaprzyjaźnionych krajów, traktują naszych turystów jak przemytników. Oto jeden z przykładów. Polak telepał się do Jugosławii starą syreną, a ponieważ nigdzie nie mógł liczyć na jakiegokolwiek części zapasowe, wioził pół bagażnika tego, co najbardziej potrzebne. Jugosłowianie cofnęli go, więc wrócił na Węgry, z a k o p a l (!) w lesie części zamienne i znów ruszył do Jugosławii. W powrotnej drodze skarb odkopał. Nie mógł się tylko nadziwić, że posadzono go o chęć handlowania częściami do zabytkowej niemal gabloty. Śmieszne? To wprost tragiczne!

Inny przykład związany już nie z podróżami turystycznymi, ale służbowymi. Węgry podejmują u siebie prywatnie w domu gości z Polski. Wszyscy piją, gospodarze nie mogą zasiać za kierownicą, wołają więc tak: „Polacy wsiadają z fasonem, a za najbliższym rogiem... wysiadają, bo ich po prostu nie stać i później już bez fasonu zasuwają pieszo przez uśpijony Bułapeszt”.

Autor stwierdza: „banki w 1986 roku zmniejszyły aż o 30 proc. limit na turystykę zorganizowaną, a jednocześnie zezwoliły na indywidualne wyjazdy na Węgry bez zaproszeń z możliwością wykupu 1500 forintów. Tak, tak, to stąd wzięły się te 24-godzinne wyprawy handlowe do Budapesztu. Noc — podróż — w tamtą stronę, w dzień handel i następna noc — powrót!”

W zakończeniu, a właściwie już w postscriptum, B. Daleszak pisze: „to prawda, że handlarze wyrabiają parzywą opinię zwykłym turystom, ale przecież można tych wszystkich specjalistów wylapać i raz na zawsze zmieścić do wyręczania zagranicznych central handlowych. Bez trudu mogą ich wyeliminować instytucje wydające paszporty. A zwykłym turystom należy się z wytkły szacunek [...]. Widujemy w telewizji różne oficjalne kontakty z zaprzyjaźnionymi krajami. Ele-

gancja, „atmosfera pełnego zrozumienia”. Czy ci oficjale nie powinni domagać się, by z podobną atencją traktowano pozostałych obywateli PRL? W końcu turystyka to jedna z oczywistych potrzeb cywilizacyjnych...”

W tym samym numerze tygodnika Włodzimierz Wodecki zamieszcza tekst pt. „Konsultacje na kółkach”. Autor jechał ekspresem „Kaszuby” z Gdańska do Warszawy i całą drogę spędził na korytarzu rozmawiając z dyrektorem X, jego zastępcą Y, wiceministrem obecnym i byłym o naszej rzeczywistości. „Były to — stwierdza — rozmowy dalekie od uwielbiania tejsze rzeczywistości. Przyznam nawet, że gdyby ktoś niepowołany słuchał naszej dyskusji, miałby materiał do solidnego donosu na temat zebrania ekstremy podziemia. Ekstremy specjalizującej się w problematyce gospodarczej”. Dalej następują różne przykłady z tej dziedziny, a w konkluzji Wodecki pisze: „ostatnio w naszym kraju ogromnie lubimy organizować różnego rodzaju konsultacje, zdobywać informacje u źródła np. w fabryce”. Zamiast tego Wodecki proponuje konsultacje w pociągach. „Na każdej trasie jest taki „Kaszub”, który nazywa się „Krakus”, „Odra” i jak tam jeszcze. Pociąg, przedział kolejowy odpręża ludzi i na luzie mówią o tym, co naprawdę myślą. Może więc zamiast konsultować z wielką pompą w telewizji, posłać tego i owego na trasę kolejową”.

Popieram ten wniosek, sam dowiadywałem się w pociągach, choć jeżdżę raczej rzadko, o wielu ciekawych sprawach. Niedawno np. spotkałem pana, który mi powiedział, że po wojnie uczył się angielskiego u pewnego wykładowcy. Tenże wykładowca udzielał również lekcji angielskiego Bolesławowi Bierutowi (!) i tak zawstydział mojego przypadkowego rozmówcę: „Bierut ma więcej pracy niż pan, a potrafi z lekcji na lekcję opanować sto słówek!”

10 X. Od dłuższego czasu nie oglądałem w telewizji „Panorama Lubelskiej”. Dziś jej już nie przegapiłem i muszę stwierdzić, że zaskoczył mnie bogaty wachlarz podejmowanej tematyki oraz ruchliwość redaktorów. Było nie tylko Lubelskie, ale i Zamojskie (odległa Lubycza Królewska), i Chełmskie. Znam bazę techniczną lubelskiego ośrodka TV, więc podziwiam inwencję. Ale... Reporter m.in. pokazał, jak patrol milicyjny kontroluje jedno z podejrzanych mieszkań. Właścicielka nie pracuje, twierdzi, że wraz z dwojgiem dzieci znajduje się na utrzymaniu przyjaciela. Jak jest w istocie, trudno wyrokować, niemniej wydaje mi się, że operator nie ma prawa pokazywać twarzy rozmówczyni, a jeśli już, to na jej oczach powinien być czarny pasek. Żaden sąd żadne kolegium nie skazało tej kobiety, żaden prokurator nie wyraził zgody na publikowanie jej nazwiska. Nazwisko wprawdzie nie padło, ale twarz wszyscy wyraźnie widzieli.

Dalej „Panorama Lubelska” jest bardzo słuszną politycznie, ale jej redaktorzy zupełnie nie mają poczucia humoru. Czy na zakończenie programu nie warto prezentować jakiegoś satyrycznego rysunku Lipca, Tarłowskiego, Sadurskiego, Zorodowskiego, Liwiaka, Cieniucha, Raczyki — że wymienię tylko te nazwiska? W naszym regionie mamy naprawdę dobrych, albo i wręcz znakomych, mistrzów piórka. Dlaczego ich samych, jak i prace, które spod ich sprawnych rąk wychodzą, tak mało popularyzujemy? Nawet „Kurier”, który ma spore osiągnięcia na tym polu, też ostatnio jakby spasował. Forsy na honoraria zabrakło?

Kiedy już jestem przy lubelskich frodkach masowego przekazu... Chwałę „Sztandar Ludu” za pewną zmianę formy graficznej, próbę uatrakcyjnienia pisma. Okazuje się, że chcieć to móc. Było wytrwać, było to nie był słomiany ogień!

12 X. Piszę te słowa rano, bo tekst musi zaraz trafić do drukarni, nie znam więc wyników rozmów między Gorbaczowem a Reaganem. Bardzo jednak chciałbym, aby glob ziemski stał się bardziej bezpieczny...

M. A. Jaworski

Uwaga Czytelnicy! W następnym numerze: „Lubelskie lata Edwarda Stachury” pióra Mirosława Dereckiego.

## KRONIKA KULTURALNA

W pierwszych dniach października przypadł jubileusz 35-lecia pracy artystycznej Euzard Komorowski, dyrygenta, skrzypka, kompozytora i aranżera, kierownika muzycznego lubelskiego Teatru Muzycznego.

kamena 2

• Lubelski Teatr Muzyczny zaproszony został przez działającą w Bazylei fundację „Muzyka i dziecko”. W końcu września teatr zaprezentował w Szwajcarii musical dla dzieci „Zaczarowany pierścień” Lucjana Kaszyckiego, który podobno zyskał uznanie szwajcarskiej publiczności.

• 4 października obchodzono uroczyste 120-lecie istnienia w Lublinie szkół im. Vetterów.

• Na zaproszenie zespołu pieśni i tańca „Podlasie”, działającego przy filii AWF w Białej Podlaskiej, gościła w województwie białkopodlaskim turecka grupa folklorystyczna „Yoren”.

• W dniach 25—28 września trwały wzniesione po kilkuletniej przerwie Dni Chełma. Ważnym punktem obchodów było przekazanie przez wiceburmistrza Chełmska, Jana Laszcza aktu otwarcia Centrum Kultury

Robotniczej w Kumowej Dolinie. Obiekt ten (wartości 58 mln zł) będzie służył przede wszystkim jako miejsce wypoczynku i rekreacji dla załóg pracowniczych chełmskich zakładów.

• W galerii BWA w Lublinie otwarto wystawę prezentującą dorobek 38-letniej pracy artystycznej Jarosława Olejnickiego, cenionego malarza, ale także propagatora sztuki, organizatora wielu pienerów plastycznych.

• Inną ciekawą ekspozycję plastyczną można oglądać w Lublinie w Galerii Krajowego Domu Twórczości Ludowej, w siedzibie Zarządu Głównego Stowarzyszenia Twórców Ludowych przy ulicy Grodzkiej. Na wystawie zgromadzono prace rzeźbiarza ludowego, pochodzącego z Kielecczyny, Józefa Kaczmarska. Są to kompozycje skła-

dające się z rzeźb opatrzonych tekstami piśmiennymi gwarą, o szerokiej problematyce sakralnej, historycznej, obyczajowej.

• Po długiej nieobecności w kraju i znaczących sukcesach odniesionych w znaczących zagranicznych festiwalach teatralnych, Stowarzyszenie Teatralne „Gardzienice” zapowiada prezentację spektakli w Gardzienicach Będą to „Gusta” i „Żywy protopop Awawakuma”, zapowiedziane na 29 i 30 października. Zgłoszenia do udziału w spektaklach przyjmuje biuro „Gardzienice” w Lublinie, przy ul. Sławińskiego 10/51, w godz. 10—13, tel. 263-85.

• Pro domo sua. Nasz redakcyjny kolega, Mirosław Derecki, został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Gratulacje od zespołu.

(w)

## 1955

**21-24 stycznia** — obradowało III Plenum KC PZPR. Przyjęto na nim następujące uchwały: 1) w sprawie pełnego przestrzegania leninowskich metod życia partyjnego i kolegiatności kierownictwa oraz przeciwdziałania biurokratycznym wypaczeń w pracy partii i w aparacie państwowym; 2) w sprawie pracy organów bezpieczeństwa publicznego oraz wzmocnienia kontroli nad działalnością tych organów; 3) w sprawie węższych zadań gospodarczych na rok 1955 i ulepszenia metod kierowania gospodarką narodową.

Członkami sekretariatu KC wybrano Władysława Matwina i Jerzego Morawskiego. Plenum postanowiło wykluczyć z partii b. wiceministra MBP R. Romkowskiego i b. dyrektora X Departamentu MBP A. Fejgina. Zaaprobowano również aresztowanie i przekazanie organom sądowym b. dyrektora Departamentu Śledczego MBP J. Różańskiego.

**24 stycznia** — 1 lutego — w Warszawie obradował II Zjazd ZMP. Przebiegał w atmosferze ostrej krytyki dotychczasowej działalności oraz wytyczeniu zadań na przyszłość. Przewodniczącą ZG ZMP została Helena Jaworska.

**9 marca** — zakończono druk polskiego wydania powieści I. Erenburga „Odwilż”. Tytuł powieści stał się synonimem odbywających się w tym czasie zmian w Polsce i pozostałych krajach socjalistycznych.

**Marzec** — rozpoczął w Warszawie działalność klub Krzywego Koła.

**21-14 maja** — w Warszawie obradowała konferencja premierów rządów i ministrów obrony narodowej państw socjalistycznych. W roli obserwatora wystąpiła delegacja Chin Ludowych. W wyniku obrad 14 maja został powołany Układ Warszawski.

**21 lipca** — w Warszawie przekazano do użytku Pałac Kultury i Nauki wzniesiony przez ZSRR.

**21 lipca** — 14 sierpnia — w stolicy Polski odbył się V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów. **21 sierpnia** — na łamach „Nowej Kultury” ukazał się „Poemat dla dorosłych” A. Ważyka. Utwór przedstawiał w pesymistycznym tonie obraz warunków życia młodzieży budującej Nową Hutę. Wywołał szeroką i kontrowersyjną dyskusję.

**Wrzesień** — studencki tygodnik ZMP „Po prostu” został przekształcony w pismo studentów i młodej inteligencji. W tym okresie na jego łamach publikowano szereg materiałów poruszających różnorodne zagadnienia, od ideologicznych i literackich, po gospodarcze. Zespół redakcyjny, kierowany przez Eligiusza Lasotę, był inicjatorem tworzenia klubów młodej inteligencji.

## 1956

**14-25 lutego** — w Moskwie odbył się XX Zjazd KPZR. Dokonano na nim całościowej oceny doświadczeń radzieckich w budownictwie socjalistycznym. Ujawniono i potępiono zjawisko kultu jednostki. Szczególne znaczenie w tej sprawie miał referat N. Chruszczowa, wygłoszony na zamkniętym posiedzeniu zjazdu (25 lutego), „O kulcie jednostki i jego następstwach”. Zjazd przyjął uchwałę o zasadach pokojowego współistnienia państw o różnych ustrojach społecznych oraz tezę o możliwości pokojowego przejścia do socjalizmu.

Podczas obrad zjazdu (19 lutego) opublikowano oświadczenie podpisane przez pięć partii (KPZR, PZPR, KP Włoch, KP Finlandii i KP Bułgarii) o bezpodstawności oskarżeń wysuniętych wobec KPP w 1938 r., w których wyniku KW MK podjął decyzję o jej rozwiązaniu.

Referat Chruszczowa, wygłoszony na zamkniętym posiedzeniu Zjazdu KPZR, został udostępniony w Polsce członkom PZPR. Treść jego stała się istotnym elementem dyskusji politycznych.

**19 marca** — w „Trybunie Ludu” ukazał się artykuł pt. „O kulcie jednostki i jego następstwach”, w którym przedstawiono problematykę XX Zjazdu KPZR w kontekście warunków polskich.

**11 marca** — opublikowano w „Po prostu” artykuł pt. „Naprzeciw ludziom z AK”. Stanowiło to rozpoczęcie dyskusji nad nowym stosunkiem do członków tej organizacji. Następne artykuły poświęcone temu problemowi ukazały się w „Nowej Kulturze” i „Trybunie Ludu”. Został zwolniony z więzienia M. Spychalski.

**12 marca** — w Moskwie zmarł w wieku 84 lat Bolesław Bierut, I sekretarz KC PZPR.

**13-18 marca** — odbył się II Kongres ZSL, który zajął się określeniem miejsca stronnictwa w procesie budownictwa socjalistycznego, wzajemnych relacji PZPR — ZSL i polityką rolną.

**20 marca** — w Warszawie obradowało VI Plenum KC PZPR. Wybrano na nim Edwarda Ochabę I sekretarzem KC. Na plenum omawiano m.in. sprawę rehabilitacji działaczy oskarżonych w poprzednich latach o działalność antypartyjną. W obradach uczestniczył I sekretarz

KC KPZR M. Chruszczow, który zabrał głos w dyskusji.

**1 kwietnia** — w „Trybunie Ludu” opublikowane wystąpienie E. Ochaby, wygłoszone na naradzie aktywu partyjnego Warszawy i województwa warszawskiego. Ochab przedstawił działania zmierzające do naprawienia krzywd i szkód wynikłych z nieprzestrzegania praworządności w poprzednim okresie. Omówił również główne założenia przyszłego planu 5-letniego i projekt podniesienia płac.

**17 kwietnia** — opublikowano komunikat o rozwiązaniu Biura Informacyjnego Partii Komunistycznych i Robotniczych.

**22 kwietnia** — aresztowanie gen. R. Romkowskiego, b. wiceministra MBP, i płk. A. Fejgina, b. dyrektora X Departamentu MBP.

**27 kwietnia** — Sejm uchwalił ustawę o amnestii. Uwolniono 35 tys. osób, niesłusznie aresztowanych i uwięzionych na przełomie lat 40/50. Na sesji dokonano zmian w składzie Rady Ministrów: m.in. na stanowisko ministra kultury i sztuki powołano Karola Kuryluka, przewodniczącym Komitetu do Spraw Radiofonii został Włodzimierz Sokorski, ministrem spraw zagranicznych Adam Rapacki, ministrem szkolnictwa wyższego Stefan Żółkiewski.

**1 maja** — w Warszawie rozpoczął pracę pierwszy w Polsce ośrodek telewizyjny o zasięgu 60—80 km.

**9 maja** — z upoważnienia Biura Politycznego KC PZPR F. Mazur i Z. Nowak przeprowadził rozmowę z W. Gomułą. (Następne rozmowy odbyły się podczas kolejnych spotkań od czerwca do początku października.)

**13-17 maja** — odbył się Zjazd Krajowy SD, który zapoczątkował etap zmian w działalności stronnictwa.

**17 maja** — wywiad prokuratora generalnego PRL dla „Trybuny Ludu”. Poinformował o rehabilitacji osób skazanych w procesie Stanisława Tatara, Jerzego Kirchmayera i innych, oraz b. żołnierzy AK, m.in. Jana Mazurkiewicza „Radosława”.

**14 czerwca** — powrócił do kraju z emigracji b. premier tzw. rządu londyńskiego, Stanisław Cat-Mackiewicz.

**25-29 czerwca** — w wyniku niezadowolenia klasy robotniczej, pogorszenia się warunków pracy i pracy, niezadowolenia przez centralną administrację postulatów robotniczych doszło w Poznaniu do strajków, a następnie zająć ulicznych, w których wyniku poniosło śmierć kilkadziesiąt osób. Był to przejaw ostrego kryzysu między partią i państwem a klasą robotniczą.

**20-22 lipca** — odbyło się VIII plenarne posiedzenie CRZZ. Omawiano kwestię rozszerzenia demokracji robotniczej w zakładach pracy i zwiększenia roli związków zawodowych w życiu polityczno-gospodarczym kraju.

**18-23 lipca** — obradowało VII Plenum KC PZPR (najdłuższe w dziejach partii). W plenum uczestniczyli pierwsi sekretarze KW i centralny aktyw partii. Referat BP wygłosił E. Ochab. Dotyczył sytuacji politycznej i gospodarczej oraz głównych zadań partii. Drugi referat, wygłoszony przez J. Cyrankiewicza, przedstawiał założenia planu na lata 1956—1960. W dyskusji zabrało głos 156 osób. Była ona ostro i kontrowersyjna. Toczyła się wokół następujących problemów: kryzys polityczny w kraju, błędy i wypaczenia w latach poprzednich, kto jest odpowiedzialny za nie, ocena planu 6-letniego, wytyczne do planu 5-letniego, demokratyzacja życia politycznego i gospodarczego, polityka kadrowa, jedność partii i sprawa powrotu w szeregi partii W. Gomuły. Dyskusja ujawniła istnienie poważnych różnic wśród członków KC, BP i sekretariatu KC. Dotyczyły one programu działania partii w nowych warunkach, tempa zmian, oceny wydarzeń poznańskich, osoby I sekretarza KC, sprawy Gomuły.

Plenum odwołało J. Bermana z funkcji członka BP i przyjęło rezygnację ze stanowiska przewodniczącego CKKP Franciszka Józwiaka. Do BP wybrano: A. Rapackiego, E. Gierka i R. Nowaka. Podjęto uchwałę, w której uznano bezpodstawność, zawartego w uchwale III Plenum KC z 1949 r., zarzutu wobec W. Gomuły, Z. Kliszki i M. Spychalskiego o ich powiązaniu z agenturami imperialistycznymi.

**21 lipca** — W. Gomułce została zwrócona legitymacja partyjna. Analogiczną decyzję podjęto wobec M. Spychalskiego, Z. Kliszki i G. Korczyńskiego.

**7-20 października** — obradowało plenum CK SD. Podsumowano trzymiesięczną dyskusję nad projektem „Wytycznych politycznych, ekonomicznych i organizacyjnych stronnictwa”. Uściślono miejsce SD w systemie politycznym PRL; jako główny cel określono „współdziałanie w budownictwie niepodległej socjalistycznej Polski”. Przedstawiono także postulaty dotyczące zwiększenia roli wybieralnych organów władzy państwowej, program odbudowy rzemiosła i miejskiej gospodarki prywatnej.

**12 października** — W. Gomułka zaczął brać udział w pracach BP KC PZPR. Rozpoczęły się przygotowania do VIII Plenum KC PZPR.

**23 października** — rozpoczęło się IV Plenum NK ZSL. Dokonano na nim krytycznej oceny działalności stronnictwa, odrzucono błędy popełnione w latach 1949—1953 oraz zasadę działalności ZSL jako „transmisji partii do wsi”. Na miejsce dotychczasowego prezesa NK, W. Kowalskiego, który złożył rezygnację, wybrano Stefana Ignara. Nowym wiceprezosem został Czesław Wydech.

**19-21 października** — obrady VIII Plenum 1956

PZPR. Na plenum nie wygłoszono referatu BP z powodu „sytuacji, która się wytworzyła w ostatnim okresie w kierownictwie” (stwierdzenie E. Ochaby). Plenum dokonało do składu KC: W. Gomułę, Z. Kliszkę, I. Logę-Sowińskiego i M. Spychalskiego. E. Ochab poinformował członków KC o przybyciu delegacji radzieckiej na czele z N. Chruszczowem. Do rozmów z delegacją KPZR upoważniono BP z udziałem W. Gomuły. Odbyły się one w Belwedercie. Wczesnym rankiem 20 października delegacja radziecka opuściła Warszawę.

Wprowadzeniem do dyskusji stało się wystąpienie W. Gomuły. Zaaprobował kierunki zmian z VII Plenum. Przedstawił swoje stanowisko wobec wyników planu 6-letniego w przemyśle i rolnictwie. Określił wydarzenia poznańskie jako protest przeciwko wypaczeniom zasad socjalizmu. Poddał krytyce system kultu jednostki. Mówił o ciężkich szkodach, jakie wyrządziła polska berliowszczyzna. Akcentował znaczenie XX Zjazdu KPZR, konieczność oparcia stosunków polsko-radzieckich na wzajemnym zaufaniu i równości. W zakończeniu apelował o jedność partii i niedopuszczenie do tego, by proces demokratyzacji został skierowany przeciwko ludowemu państwu. W dyskusji wystąpiło 16 osób, a 26 złożyło głos do protokołu. Do gmachu KC przybyły liczne delegacje robotnicze i studenckie. Wyrażały one poparcie dla W. Gomuły i nowej linii politycznej partii.

Plenum w tajnym głosowaniu wybrało BP i sekretariat KC. Jednocześnie w głosowaniu jawnym I sekretarzem KC wybrano W. Gomułę. Na zakończenie przyjęto uchwałę programową „O aktualnych zadaniach politycznych i gospodarczych partii”. Decyzje plenum były przełomem w trwającym od dłuższego czasu kryzysie politycznym w partii i kraju.

**21 października** — przywrócenie miastu Stalino- gród dawnej nazwy Katowice.

**21 października** — W. Gomułka przyjął w gmachu KC grupę posłów katolickich: J. Dobraczyńskiego, J. Frankowskiego, K. Lubieńskiego i innych.

Rewizja aktów oskarżenia w procesach poznańskich.

**23 października** — po rozmowach Z. Kliszki i W. Bieńkowskiego z internowanym w klasztorze w Komańczy kardynałem S. Wyszyńskim, podjęto decyzję o uchyleniu internowania kardynała.

**26-29 października** — obradowała II Krajowa Narada Aktywu Studenckiego, na której poparto uchwały VIII Plenum KC PZPR.

**29 października** — opublikowano „Apel KC PZPR do braci Węgrów”, podpisany przez W. Gomułę i J. Cyrankiewicza. Wzywano w nim do zaprzestania bratobójczych walk.

**30 października** — W. Gomułka przyjął przedstawicieli inteligencji katolickiej: J. Zawieyskiego, A. Golubiewa, St. Stomę, J. Turowicza i J. Woźniakowskiego.

**1 listopada** — Prezydium NK ZSL i Prezydium CK SD na wspólnym posiedzeniu wyraziły poparcie dla uchwał VIII Plenum KC PZPR.

**5 listopada** — odbyły się wybory samorządu robotniczego w FSO na Zeraniu.

**8 listopada** — na posiedzeniu zebrała się Komisja Wspólna Rządu i Episkopatu.

**14 listopada** — powrót radzieckich doradców wojskowych do ZSRR.

Likwidacja Komitetu ds. Bezpieczeństwa Publicznego i przekazanie jego funkcji MSW.

**15-18 listopada** — w ZSRR przebywała polska delegacja rządowa na czele z W. Gomułą. Podczas rozmów omówiono stosunki między obu państwami. Zostało anulowane przedłużenie Polski wobec ZSRR (na poczet anulowanych długów zaliczono dostawy węgla z Polski do Związku Radzieckiego w latach 1946—1953). Polska otrzymała kredyt w wysokości 700 mln rubli. Rozpatrzone także zasady stacjonowania wojsk radzieckich w Polsce oraz sprawę repatriacji Polaków z ZSRR.

**16-18 listopada** — odbyło się LX Plenum CRZZ z udziałem delegatów z zakładów pracy. Krytycznie oceniono działalność CRZZ w latach 1955—1956. Została wysunięta teza o niezależności związków zawodowych od administracji państwowej i gospodarczej. Zgłoszono szereg postulatów zmierzających do ogólnego podniesienia poziomu życia pracujących. Przewodniczącym CRZZ, na miejsce W. Kłosiewicza, został wybrany L. Loga-Sowiński.

**19 listopada** — Sejm uchwalił ustawę o radach robotniczych.

**22 listopada** — odbyło się wspólne posiedzenie kierownictw PZPR, ZSL i SD, na którym powołano Centralną Komisję Porozumiewawczą Stronnictw Politycznych.

**29 listopada** — powołano Front Jedności Narodu. Przewodniczącym został A. Zawadzki. W sali Kongresowej PKIN odbyła się ogólnokrajowa narada rozpoczynająca kampanię wyborczą do Sejmu PRL. Przemówienie wygłosił W. Gomułka, który zaapelował do wyborców, aby głosowali na kandydatów FJN.

Dokończenie na str. 9

**S**AMOBÓJSTWO towarzyszy człowiekowi od początku jego świadomego istnienia i wyrażało zawsze rozmaite jego pragnienia, a nawet cele i założenia. Postronki ofiarowane przez władców Wschodu krnąbrnym i nieposłusznym, aby „obwiesili” się sami, miał zapewne wykluczać odpowiedzialność za bezpośredni akt ferowania wyroku; harakiri i kamikadze stanowią nie tylko przykład skrajnego nacjonalizmu wojennego, ale także wyraz pewnych wymogów kulturowo-etycznych trudnej do zrozumienia, poza własnymi kategoriami, rasy. Samobójstwa oficerów po przegranej wojnie reprezentują wierność kodeksowi honoru i poczucie odpowiedzialności; samobójstwa zaś hitlerowskich prominentów wyrażają ucieczkę kryminalisty przed odpowiedzialnością i karą. Literacką wizję dezakceptacji otaczającej jednostkę rzeczywistości stanowi samobójstwo Petroniusza, a samobójstwo Hemingwaya wyznacza kres jego mocy i zdolności twórczych. Sprawa jest więc niejednorodna i zróżnicowana jak niejednorodny i zróżnicowany jest człowiek. Rozpatrywanie jej wyłącznie w prostych kategoriach odwagi czy tchórzstwa byłoby poważnym nieporozumieniem.

Stosunek współczesnych do tego zjawiska zdaje się być jak najbardziej odległy od jednorodności osądów. Samobójstwo nadal podnieca zbiorową wyobraźnię, ale wtrąca także nas, mniej lub bardziej zadowolonych z życia, podążających ku mniej lub bardziej wzniosłym celom, żyjących mniej lub bardziej gorące nadzieje, w stan specyficznej rozterki, w nagłą niemożność prawidłowego wartościowania. W przypadku morderstwa społeczna frustracja zwraca się w konkretnym kierunku, uruchamia działania, w których wyniku sprawca zostaje ujęty, osądzony i skazany, a nasze sumienie pozostaje czyste i uspokojone. W przypadku samobójstwa ofiara i sprawca to jedno, nie mogą zatem jasno określić odpowiedzialności, pokrywamy zwykle ten akt wstydliwym milczeniem. W ten sposób śmierć samobójcza, samotna jak każda śmierć, pozostaje samotną do końca; towarzyszy jej nieodmiennie uczucie swoistego niepokoju, cierni, który draży naszą wrażliwość, nagłe rozchwianie gotowości do wystawiania ocen. Niezmiernie rzadko, prawie nigdy, dociera do nas świadomość, że wszyscy jesteśmy współwinnymi: my — rodzina, społeczeństwo.

Samobójstwa stanowią bowiem ilościowo, ale niezwykle czoły i bolesny margines mnogości objawów patologii społecznej, a także innych chorób cywilizacyjnych narzuconych przez współczesny świat. W zespolach obu tych zagadnień mieszczą się dewiacje naszego życia zbiorowego, odkrywane nie tylko w przytulnych gabinetach psychoanalityków, ale widziane także gołym okiem każdego przechodnia — pijanstwo, prostytutka, narkomania, przestępczość nieletnich. Niemal codziennie docierają do nas przekazy o napadach chuligańskich i rabunkowych, w dni zaś popularnych imienin ulice naszych miast stają się własnością, podchmielonych mężczyzn i niedorostków, wypełniają się krzykiem i wrzaskami, piątką awanturą.

Zjawiska te narastają w naszym kraju niepokojąco, a skuteczność podejmowanych przeciwdziałań pozostaje wciąż niedostateczna. Potęguje się także dezintegracja społeczna, co jest nie tylko wynikiem proindustrialnego rozwoju kraju, ale nade wszystko kryzysu wzajemnego zaufania. Powiedzenie: „Mój dom jest moim zamkiem” przestało być wyrazem dumy z intymności rodzinnego ogniska, a stało się symbolem społecznego odizolowania. Model współżycia społecznego oscyluje między rozmaitymi formami upijania się, a więzy rodzinne ulegają osłabieniu, poszarpaniu. Rozpalona od pewnego czasu walka o duszę młodego pokolenia wcale zjawisk tych nie łagodzi.

Nie więc dziwnego, że po nalożeniu wszystkich środowiskowych bolączek na frustrację i rozczarowania współczesnego świata wizja przyszłości pokrywa się cieniem i wypełnia poczuciem beznadziei. Właściwą ilustracją tej prawdy mogą być wyniki niedawnego konkursu, jaki ogłosiła Międzynarodowa Organizacja Zdrowia (WHO) dla dzieci i młodzieży pod hasłem „XXI wiek”. Sposób widzenia przyszłości zdumiał socjologów i psychologów. W każdej niemal futurystycznej wizji pojawia się lek i obawa; mali ludzie zrzeczno-

wał już z marzeń o dorosłym życiu, boją się przyszłości. W tym kontekście nie może budzić zdziwienia obserwowany ostatnio nagły wzrost liczby samobójstw popełnianych przez młodych, a nawet nieletnich. I choć, ze względu na kłopot w prawidłowym ustaleniu skoliczności, statystyki nie są tu na ogół miarodajne, wykazują one zazwyczaj tendencje do zaniżania raczej, niż zawyżania danych.

Problem targnięcia się na własne życie ludzi bardzo młodych objawia się wyraźnie także i u nas. Źródła tych tragicznych działań tkwią przede wszystkim w potęgających się nerwicach szkolnych oraz w niebezpieczeństwach i pokusach wieku dojrzewania. Poddawany ustawicznemu eksperymentom, system kształcenia w naszym kraju przemienił się w ogólnonarodowy kombinat do przekazywania wiedzy, odsuwając funkcję wychowawczą na plan zdecydowanie dalszy. Trudności adaptacyjne, przeciążenie pracą, zaburzenia emocjonalne stanowią czynniki destabilizujące jakość młodzieżowego życia. Niekiedy prowadzą one do takiego splotu okoliczności, których jedynym rozwiązaniem wydaje się być bezpowrotna ucieczka. Swoje specjalne miejsce w podejmowaniu takich decyzji mają zjawiska negatywnych postaw w rodzinie.

## Wszyscy jesteśmy współwinnymi

# Samotni wśród ludzi

— Zagrożenia wynikające z patologii społecznej, a przede wszystkim patologii rodziny, widzę niezwykle jaskrawo — mówi doc. dr hab. Marek Masiak, kierownik Kliniki Psychiatrycznej Akademii Medycznej w Lublinie. — Do niedawna w zakresie tej problematyki nie robiło się w Lublinie nic. Od lat walczyliśmy o oddział dziecięcej kliniki, lecz sprawa rozbija się o trudności w znalezieniu odpowiedniego lokalu. Dopiero ostatnio zarysowała się w tym względzie pewna nadzieja. Przedłożyłem także lekarskim władzom wojewódzkim projekt powołania ośrodka terapii i patologii społecznej. W takim ośrodku powinien znaleźć się silny zespół terapii rodzin wraz z poradnictwem rodzinnym, centrum terapii uzależnień, grupa działająca na rzecz dzieci nieprzystosowanych. Źródłem uciekania się do samobójstwa należy bowiem szukać właśnie w tym ogromnym zespole zagadnień społecznych. Żywię jednak poważne obawy, czy z rozważnych względów dojdzie kiedykolwiek do realizacji tej koncepcji.

Mam przed sobą niewielką kartkę zapisaną piórem maszynowym: otrzymują ją wszyscy odratowani samobójcy opuszczający oddziały toksykologiczne i inne lubelskich szpitali. Rozkleja ją także pasjonaci na słupach i tablicach ogłoszeń naszego miasta. „Ośrodek Terapeutyczny Czechów zaprasza wszystkie osoby, które przeżywają lub przeżywały trudności w akceptacji życia lub mają za sobą próby samobójcze. Oczekujemy we wszystkie piątki każdego miesiąca w godzinach 16 — 19. Adres: Lublin, Czechów — Osiedle Karłowicza, ul. Górską. Dojazd: autobusy linii 2, 14, 29 (ul. Elsnera)!”

Ośrodek działa na Czechowie od niedawna, od czterech zaledwie miesięcy. Kiedy docent Masiak ogłaszał nabór ochotników do pracy w tej placówce, zgłosiła się spora liczba lekarzy i studentów. Jest bowiem w ludziach chęć niesienia pomocy i rozbijania ludzkiej samotności.

— Samobójstwo jest tragedią, za którą społeczeństwo powinno czuć się współodpowiedzialne — mówi docent Masiak. — Wzięcie się ono bowiem z obojętnością, zniechęcią, brakiem zrozumienia drugiego człowieka. Jest to niezwykle bolesny problem, którego nie wolno nam ani na chwilę tracić z pola widzenia; jest to jakby barometr naszego społecznego zdrowia psychicznego. Nade wszystko potrzebne są grupy wolontariuszy gotowych pospieszyć z pomocą; państwowe służby socjalne nie są bowiem w stanie uporać się same z tym zagadnieniem.

Praca ośrodka na Czechowie nie satysfakcjonuje jeszcze jego organizatorów. Jak na razie, liczba odwiedzających tę placówkę jest minimalna.

Trzecią całą pozostaje na pewno niedostatecznie rozreklamowana, dotyczy ponadto spraw tak intymnych i osobistych, że poszukujący kontaktu porzucą niejednokrotnie myśl o szukaniu wsparcia. A przecież to właśnie samotność prowadzi najczęściej do tragicznego końca. Skala wyizolowania jednostki we współczesnym społeczeństwie jest ogromna i potęguje się wzrost proporcjonalnie do wzrostu tempa życia, rozwoju populacji, narastania stresów.

„Właściwie nie wiem, co mnie przekonało do tego, aby sięgnąć za pióro i napisać ten list. Pozornie jestem otoczony masą przyjaciół, ale zdaję sobie sprawę, że tak naprawdę to nie mogę na nikogo liczyć” — Tomasz. „Lektura listów w tej rubryce usławiła mi, że nie jestem wyjątkiem wśród samotnych” — Dorota ze Szczecińskiego. „Dzisiaj zdaję sobie sprawę że ten list powinienem napisać już dawno. Mam 29 lat i jestem samotny” — Dariusz z Raciborza. „Dzisiaj mam 25 lat i widzę, że w swoim środowisku pozostałam sama” — Ewa z Krakowskiego. Powyższe wypowiedzi znalazłem w jednym zaledwie numerze „Walki Młodych”.

Zjawisko osamotnienia przybiera specyficzne rozmiary w przypadku ludzi starych. Skazani na bierność, niejednokrotnie ubóstwo, wyrzuceni na

Zawiedzioną miłość, nieodwzajemnione uczucia rodzicielskie, poczucie opuszczenia i brak zainteresowania dla przeżytych emocji stanowią kolejne przyczyny prób samobójczych. Należy pamiętać, że każda taka próba poprzedzona jest werbalną deklaracją, która pozostaje zignorowana przez otoczenie. Z reguły przeżycia ludzi młodych obserwowane są z pewnym odzieniem lekceważenia, tymczasem uczucia te bywają niezwykle silne i namiętne. Prawdziwe piekło przechodzą jednak przed tragicznym końcem dzieci z rodzin alkoholików, z rodzin rozbitych, z rodzin, gdzie brakuje miłości. Jest to temat wydziałowy, wart specjalnego opracowania. Mimo różnic, zawsze tragicznych implikacji aktu samobójczego bywają nadal w naszym kraju przypadki traktowania samobójstwa jako aktu godnego bezwarunkowego potępienia, a nawet skazanego z elementami groteski. Wynika to także bez wątpienia z dotychczasowej postawy Kościoła w tej kwestii, choć podobno ostatnio uległa ona dość znacznym przewartościowaniom. Niezmierną trwałość jednak wspomnianego wizerunku doskonale ilustruje choćby scena topienia się cieśli Sewruka w groteskowym mikroświecie Skiroławeł Zbigniewa Nienackiego.

Mimo niepokojącego wzrostu liczby

margines rodzinnego życia, często szykanowani i terroryzowani przez własne dzieci, wołają przyspieszyć smutny koniec swojego życia. W egzystencji ludzi starych mieści się wiele niewypowiedzianych tragedii. Odrębną grupę potencjalnych samobójców stanowią ludzie nieuleczalnie chorzy, oczekujący w samotności kresu swoich cierpień.

Jednym z najbardziej skutecznych środków profilaktycznych, któremu zawdzięcza życie wcale już niemala rzesza niedoszłych samobójców, jest Telefon Zaufania.

— Telefon Zaufania istnieje w Lublinie od 1969 roku — mówi mi mgr Ewa Mielniczuk-Staniaszek, kierownik tej placówki — i choć na terenie kraju mamy trzydzieści trzy tego typu ośrodki, to nasz, lubelski, jest jednym z trzech w kraju, które funkcjonują w systemie całodobowym. O potrzebie istnienia tej placówki niech świadczy fakt, iż rocznie odnotowujemy w Lublinie do 10 tysięcy rozmów. Dziennie jest ich około 20. Mamy już nawet własnych stałych klientów przywiązanych do znanego sobie głosu lub imienia. Tym ludziom kontakt z drugim człowiekiem jest niezbędny do życia. Są to inwalidzi, ludzie samotni, chorzy przykuci do łóżka. Telefon ma także niemałe sukcesy w bezpośrednim ratowaniu życia ludzkiego. Stanowimy niejednokrotnie jedyną pomocną dłoń podaną drugiemu człowiekowi w chwili słabości i depresji.

Uzyskuję zezwolenie na przejrzenie raportu jednego z przypadków, kiedy w wyniku działań podjętych przez Telefon Zaufania, uratowano życie młodej kobiecie. Raport kończył się notatką sporządzoną o 2.45 nad ranem: „Lekarz Pogotowia poinformował nas, że stan pacjentki jest bardzo ciężki, ale jej życiu nie zagraża już niebezpieczeństwo”.

Telefon Zaufania w naszym kraju zawsze podejmuje działania w celu ratowania życia ludzkiego. W Wielkiej Brytanii na przykład, jeśli samobójca nie życzy sobie interwencji, bliski głos z Telefonu towarzyszy mu do końca jego drogi.

Oczekując pewnego dnia na poradę w szpitalu przy ul. Biernackiego, byłem świadkiem, jak zielona wojskowa karetka przywoziła nieprzytomnego żołnierza. Zażył podobno znaczną ilość tabletek nasennych. Przez personel pielęgniarski Izby Przyjęć został przywitany jak hipochondryk, mocnym poklepywaniem po twarzy i wezwaniem do obudzenia się. „Podobno rzuciła go dziewczyna” — stwierdzili koledzy. Ktoś zachichotał, że dojadło mu wojsko. Kiedy opuszczaliśmy szpital, pozostał samotny na zielonych, połowych noszach rozłożonych na podłodze. Miał podłączoną kroplówkę, a wokół chodzili ludzie, zaferowani własnymi sprawami.

Wiesław Horabik

Samobójstw wśród ludzi młodych, najliczniejszą grupę samobójców stanowią nadal osobnicy w sile wieku lub samotni starcy. O wiele częściej zamachu na własne życie dokonują mężczyźni (stanowi to relację 2:1, a w niektórych krajach nawet 5:1), za to nieudane próby samobójcze występują częściej u kobiet. U mężczyzn akt ten ma przebieg bardziej brutalny (powieszenie, wyskoczenie z wysokości, rzucenie się pod pociąg). Szczególnie „modne” stało się ostatnio na Zachodzie samobójstwo upozorowane na wypadek drogowy, poprzez rozpedzenie samochodu i uderzenie, na przykład, w przydrożne drzewo.

O częstotliwości występowania zjawiska decydują wielorakie czynniki: liczba potomstwa, miejsce zamieszkania, rodzaj wykonywanego zawodu, przekonania religijne. Najbardziej niebezpiecznym, a nawet decydującym, czynnikiem pozostaje jednak próżnia społeczna, którą wytworzył nasz współczesny świat. Stan zagrożenia wynikający z prób targnięcia się na własne życie rośnie wraz z frustracją i stanem kryzysowym danego społeczeństwa. Ten właśnie fakt postawił nasz kraj w obliczu szczególnego niebezpieczeństwa. Udokumentowany ponad wszelką wątpliwość bilans około ośmiuset skutecznych prób samobójczych rocznie na terenie samej tylko Lubelszczyzny (w dawnych granicach) musi stanowić wyraźny i alarmujący wskaźnik narastania problemu. Jedyną realną szansą na zmniejszenie tragicznych statystyk może być głęboko pojęta odnowa moralna społeczeństwa, odbudowanie roli rodziny w państwie, rozwój właściwie pojętego życia towarzyskiego, zacieśnienie więzów międzyludzkich, wzrost wzajemnego zaufania i zrozumienia. Potrzebny jest łańcuch ludzi dobrej woli, przypominający choćby akcję Marka Koftańskiego, wyrosła z walki z narkomanią.

Na temat odnowy moralnej narodu mówi się ostatnio dużo, odbywają się odpowiednie sympozja i narady, konferencje i spotkania. Niezmiernie rzadko poszukujemy jej jednak w sobie, w swoim najbliższym otoczeniu.

Każde odejście człowieka poprzez zadanie sobie śmierci nie tylko ilościowo zuboża nasze społeczeństwo, lecz także je oskarża i ukazuje jego niedostatki. Bo choć śmierć samobójcza nadal przekracza naszą zdolność właściwego oceniania tego aktu, czyni nas zarazem odpowiedzialnymi i współwinnymi.

Koniecznością chwili staje się zachowanie w pamięci słów Johna Donne'a, wypowiedzianych już przed trzema wiekami, iż „nikt nie jest samotną wyspą i jeśli umrę, świat będzie pomniejszony”, i zrozumienie podstawowej prawdy, że człowiek nie zasługuje na samotność wśród ludzi.

# Cerowanie polichromii

María Denys

**K**APLICA św. Trójcy na Zamku Lubelskim. By dostać się pod sklepienie, muszą pokonać kręte schody prowadzące na chór i dwie kondygnacje rusztowań. Drabinki chwieją się, a serafyny i archanioł z polichromii zezującym nieco spojrzaniem taksują mnie, wdzierając się tu, ziemskiego intruza. Panią Marię Milewską zastaje przy „cerowaniu” ich szat i skrzydeł. Silne światło lampy wydobywa wszystkie dziury, przetarcia, ubytki. Gdzieś tam wyłazi coś jakby podszywka i sztywnik z linianych paków. To nie pióra?

Dalsze skojarzenia stają się niebezpieczne, bo przecież nie o dosłowne cerowanie tu chodzi. Pani Maria odkłada pędzelek i wyciera ręce z malarskich pigmentów i farb. Chwilą odpoczynku dla godzinami wzniesionych ramion i dla wzroku precyzyjnego postawienie kropeczki za kropką. Sefek, tysiące punkcików. Jak niewidoczny ścieg, dyskretnie wypełniają one niewielkie ubytki i przetarcia w kolorystycznej warstwie malarskiej. Przy większych kanonach sztuki konserwatorskiej dopuszczają zastosowanie neutralnych kolorystycznie piasków, lekkich skalających fragmenty oryginału, by nie sprawiał wrażenia porozrywano.

Uciekamy z oslepiającego kręgu lampy. Anioły na chwilę przymykają zęzowate oczy. Pani Maria parzy kawę. Pod tym kaplicznym firmamentem jest już zadomowiona szóstka bez mała rok. Tyle bowiem czasu zabrala konserwacja krzyżowo-żebrowego sklepienia nawy. Dotkliwie zniszczonego przez ciekące latami z dachu wody. Niczego tu nie dało rady przyspieszyć, wprawna udało usunąć zagrożenia w tej części budowli. Dopiero pod solidnie wyremontowanym dachem, poddaszem i oknami mogli konserwatorzy przystąpić do swojego dzieła. Przywrócić więc należało żebrom ich pierwotną, falistą formę. Zrekonstruowano je na podstawie zachowanych szczątków. Pozbitych zostały wcześniejsze, z czasów pospiesznej konserwacji z lat 50-tych, ciężkie, cementowe plomby. Niektóre pozostały już na wieki, ani ich oderwać chyba że z częścią oryginalnej struktury.

— Następnie — pani Maria wiedzie mnie pod tym sklepieniem i pokazuje — tu i tu, w setkach miejsc zrobiliśmy „zastrzyki” z tak zwanym wypełniaczem: marmurową mączką i odrobiną kazeiny, by wzmocnić polichromowane tynki.

— O, tutaj — mówi — to się już przetrzały jak filc, wychodzą na wierzch pakuły.

— No, tak, przecież polichromię ruscy malarze wykonali na mokrym tynku, na dwuwarstwowej zaprawie wapiennej, do której wówczas zwykło się było dodawać cienko drobną siemkę i len, a nawet pewne organiczne spoiwa. Na oczyszczone i wzmocnione już pola — kontynuuje pani Maria — wejść można było z tym punktowaniem. To już jest ostatnia faza konserwacji, malarskie uzupełnienie ubytków. Nie chciałam, — by te lata w przypadku większych plaszczyn były zbyt „plaskie”. Zaproponowałam więc dyskretnie, lekkie tylko odtworzenie rysów, konturów, intuicyjnie oddające oryginał. Ostateczną jednakże decyzją zapadła po naradzeniu się z fachową komisją. Zadnej dowolności. Najważniejszy jest oryginał, nie może on zostać zdominowany ani przez kolorystyczne dodatki, ani tym bardziej rekonstrukcją malowidła. Ingerencja konserwatora musi tu być delikatna...

Na konserwowaniu sklepienia nawy zeszło więc pani Marii prawie sześć lat. Wcześniej, wspólnie z doc. Stanisławem Stawickim, pracowała cztery lata nad prezbiterium. To zresztą doc. Stawicki zaprosił panią Marię do Lublina. Przyjechała tu gdzieś w 1977 roku, obejrzała kaplicę i została. Nawet późniejsza propozycja atrakcyjnego wyjazdu za granicę nie była w stanie oderwać jej od rozpoczętych tu prac. I być może, złotosukienne anioły dopomogły jej przetrwać obawy przed samotnymi — często — godzinami w ciemnym lesie rusztowań.

Koledzy-konserwatorzy wykonywali dokumentację, kitowanie ubytków itp. i mykali. Pytano panią Marię, czy się

nie boi tak sama malować w kaplicy? Czy się nie boi duchów? Nie wiedzieć czemu, mroki kaplicy przywoływały wśród ciekawskich takie właśnie skojarzenia. „Duchów?” — dziwiła się pani Maria. — A czy ja zrobiłam im coś złego, obraziłam, żeby się ich obawiać? Załomotało czasem serce i drgnęła ręka, kiedy ktoś w nieoczekiwanej porze zaczynał się dobiegać do kaplicy. Zanim nie zabezpieczono dziedzińca zamkowego, kaplica leżała na trasie „przelotu” niejednego, staromiejskiego „ptaszka”. A i dzisiaj jeszcze ludziska potrafią tu pod drzwiami napaskudzić”...

— Kiedy dorastała moja córka Ania — mówi pani Maria — zabierałam ją ze sobą do pracy by przywykła do zajęć konserwatorskich, którym tak bardzo chciała oddawać się w przyszłości. Dzisiaj, jako dyplomowany już konserwator dzieł sztuki, współpracuje ze mną przy punktowaniu sklepienia.

Pani Maria jest rodowitą warszawianką. Ukończyła malarstwo na ASP, a u profesora Marconiego studium konserwatorskie. Przed dziesięć laty blisko laty związała się z ogromnym programem konserwatorskim kaplicy św. Trójcy na Zamku Lubelskim, rozpoczętym w latach 60-tych przez warszawskie, potem kontynuowanym przez lubelskie PKZ, a obecnie przez PP „Sztuka Polska” (na zlecenie wojewódzkiego konserwatora). Miała za sobą kilkanaście lat dobrej zaprawy: PKZ warszawskie, Wilanów Krzeszów, Kołobrzeg, Gostków, Boguszyce, nie licząc konserwacji wielu ikon i obrazów. I niewiele czasu pozostawało na twórczość własną — malarstwo, dobre malarstwo, jak mówią współpracownicy pani Marii. Chociaż kto wie, czy nie lepiej by wyszła na malowaniu kwiatów i pejzaży? Materialnie, oczywiście.

Kiedyś ruski mistrz Andrzej, mistrz Cyryl i ten trzeci, niewiacony, swoją malarską „dniówkę” odznaczali czerwoną ramką, zamykając w niej poszczególne sceny ze Starego i Nowego Testamentu, postacie święte, motywy dekoracyjne. Od tych „kawalków” mieli płacone. Ile? Nawet sam Długosz — wspominając o podjętej przez nich pracy — nie pisał o sumie ani słowa. Być może, nie były to sprawy najważniejsze do zapisania w jego „Historii...”. Grunt, że artystom wyplacono. Wykonanie polichromii przez ruskich malarzy zlecił i zafundował miastu król Władysław Jagiello, a płaciła rada miejska. Pani Marii, jak i pozostałym artystom plastynom-konserwatorom, płaci się od dzieła. Co pewien czas komisja ocenia postęp prac i asygnuje należne wykonawcom załiczki.

Pani Maria z córką spędzają tu teraz także i wolne soboty, byle już zejść spod tego sklepienia. Jeszcze trochę i 182 metry kwadratowe zakonserwowanej polichromii będą gotowe. Współtowarzyszem 6-letnich prac pani Marii przy konserwacji sklepienia jest mgr Leonard Bartnik.

— O, tu — pokazuje pani Maria — jest przez niego „wypunktowany” anioł.

A pan Leonard siedzi tymczasem cichutko nad pergaminem i dokumentuje zrekonstruowane żebra. Gdyby nie pozostawione małe fragmenty tynku, tak zwane świadki, świadczące, nikt nie miałby już pojęcia o stanie, z jakiego należało wyprowadzić te i inne fragmenty architektury i polichromii.

— Proszę spojrzeć — i znów pani Maria wiedzie mnie pod sklepienie — jakie piękne już są okna w kaplicy.

Rzeczywiście. Podwójne, drewniane ramy zabezpieczają dobrze wnętrza od zimna i wilgoci. Podwójne oszklenia i oryginalne witrażki. Okazuje się — tu zasięgam bliższej informacji u mgr Krystyny Durakiewicz, kierowniczki muzealnej pracowni konserwacji — że te właśnie witrażki odnalezione zostały szczęśliwym dla kaplicy trafem. Oto radziły już wysokie komisje, co z tymi oknami w końcu zrobić, kiedy konserwatorzy, uzupełniając podokienne pęknięcia muru, wydłubali ze szpar okrucy szklą i ołowianych oprawek! Toruńskie PKZ zrobiły według tych szczątków piękne witraże.

Pani Maria mówi, że praca konserwatora nie jest jednak najlepszym zawodem dla kobiety. A mówi to, mając już w tym doświadczenie: lata całe tułaczką w terenie, po zimnych kościołach czy innych obiektach, niezbyt wygodnych stancjach, nie zawsze ciepłej kuchni. Trzeba mieć w sobie mocne przekonanie, cierpliwość, poświęcenie, ba, nawet spory idealizm. Nie są to — zgadzamy się obie — najbardziej rozchwytywane obecnie motywy podejmowania pracy. Często przychodzą tu młodzi ludzie, plastynom-konserwatorzy, przyglądają się chwałą, ale ich pierwsze „sakramentalne” pytanie jest — za ile? Być może i ruscy malarze od tego zaczęli pertraktacje z królem. Kto ich tam wie?

Pani Maria skromna jest nadzwyczaj w ocenie własnego wkładu pracy nad kapliczną polichromią. Żyje jednak mocno tym problemem. Z prywatności, o którą coraz to indaguję, umyka do ciekawostek i osobliwości samej polichromii. Coraz to pokazuje mi coś niezwyklego.

— Proszę popatrzeć na ten tęczy. Oto mandylion: wizerunek chusty św. Weroniki, podtrzymywany przez dwa

jak na taki mały zespół konserwatorów”. Ciepłej się jakoś zrobiło tym na górze. Ale znów przewodnik, chyba miejski indagowany ostro o termin ukończenia prac konserwatorskich przy kaplicy, odpowiedział: „O, proszę państwa, to jeszcze potrwa co najmniej 50 lat”. Rzeczywiście rusztowania porastają wnętrza kaplicy od co najmniej 20 lat. Tyle czasu potrzeba było na opanowanie zabójczej dla fresków wilgotności i zasolenia, na remont kaplicy, a więc zabezpieczenie jej najważniejszej architektonicznej funkcji by ocalić można było freski. Odwodnienie dziedzińca zamkowego, uregulowanie temperatury i wilgotności wewnątrz obiektu — to były poważne problemy. I pozostaje ciągła pamięć, iż lessowo-nasypowe wzniesienie zamkowe stale podatne jest na zawilgocenia, te z kolei mogą spowodować wyłazanie niebezpiecznych dla malowideł zasoleń. Ale jest już sucho i ciepło. Pracownia konserwacji Muzeum Okręgowego na Zamku ma na to stałe baczenie.

Idą więc spokojne prace konserwatorskie. Jest znacznie bliżej ich ukończenia, niż się pesymistom zdawało. Powoli wylania się świetność tego berceńskiego rusko-bizantyjskiego malowidła. Wspaniałego „gobelinu”, gdzie splatają się wątki i osnowy kultury, sztuki i religii Wschodu i Zachodu. Niewiele istnieje w Polsce dzieł takiego kulturowego pogranicza, powstałych z inicjatywy króla Władysława Jagiello. Katedra sandomierska kolegiata wiślicka, kaplica świętokrzyska na Wawelu



Pod tym kaplicznym firmamentem pani Maria Milewska jest już zadomowiona szóstka bez mała rok. Tyle bowiem czasu zabrala konserwacja krzyżowo-żebrowego sklepienia nawy. Fot. Robert Lipski

anioły. Piękna bizantyjska twarz Chrystusa. Ręka w tym chyba Cyryla, bo to on malował sklepienie nad nawą. Wizerunek ten pilnie oglądał J. Wilson, który zajmuje się słynnym Celnem Turyńskim, a jedną z najnowszych swoich publikacji opatrzył lubelskim właśnie przedstawieniem z łuku tęczywego.

Pani Maria wynajmuje od znajomych mieszkanie w staromiejskiej kamienicy przy ul. Trybunalskiej. Kocha stare miasta, za nie nie zamieszkałaby w nowym budownictwie. Ma stąd ładny widok na garść przykatedralnej zieleni, oszpeconej czasami woreczkami po „wchaczach”. Cicho tu jednak, lecz i zimno. Palić trzeba w piecu węglem. Nie zawsze zmęczone malowaniem ręce chętnie są do takiego wysiłku.

— Wczoraj — dopowiada panna Anna — straciłam w sklepie całą półkę szamponów, tak zdrętwiały mi ręce. A kiedyś to mało śmiały z mamą nie runęły ze schodów. Stopnie dwoiły się i troli...

Pod sklepienie dolatują czasem słowa zwiedzających, ich wrażenia i opinie. Oto jakiś cudzoziemski turysta z uznaniem wyraził się: „Świetne tempo

i lubelska polichromia w kaplicy św. Trójcy, najstarsza i prawie całkowicie zachowana.

10 sierpnia 1418 roku mistrz Andrzej z ulgą pewnie sygnował inskrypcję fundacyjną swoim imieniem. Na sklepieniu swoją parafkę w cyrylicy postawił mistrz Cyryl. Czy współcześni artyści plastynom-konserwatorzy znajdują się w poczcie mistrzów tego dzieła? Czy średniowieczną modlą pozostałą anonimowi?

Pani Maria śmieje się cichutko i dodaje:

— Jedną z wycieczek tak skwitowała zwiedzanie kaplicy: Chodźmy, bo nie ma tu co oglądać, w sumie nic tu ciekawego...

Drugim razem, kiedy znów odwiedzałam panią Marię, król Jagiello typnął do mnie z tablicy fundacyjnej na baszcie kryjącej kręte schody na chór. Niosłam gruszki dla mojej rozmówczyni. No właśnie, przecież Jagiello był ich zawziętym smakoszem! Nie cierpiał jabłek ani nawet ich zapachu. Wspiąłam się dalej na rusztowania, by podglądać „cerowanie” polichromii.

# Maria Dąbrowska

## Popołudnie we Frampolu

[...] WSZYSTKIE domki Frampola są niebieskie oprócz tego, przed który zamieszkałyśmy. Ten jest brązowy — rosą kolo niego włoskie orzechy i piwonie w małym szczytowym ogródeczku. Oczekiwano nas przy furtce tego ogródeczka i zaraz zaczęłyśmy jeść obiad. Na obiad było kwaśne mleko i kura. Mieszkamy w dwóch izbach belkowanych — ja mam swoją izbę, Wanda swoją. W mojej izbie jest piec taki, jaki znamy z rosyjskiej literatury, taki na którym można spać. Teraz leżą na nim od brzoza książki i stoją nasze przybory toaletowe — co się dzieje dalej, nie wiadomo.

Po obiedzie poszliśmy się przespać „po podróży” — obudzili nas muchy i deszcz, który szeleścił spokojnie za otwartymi oknami. Zaczęłyśmy wyglądać.

Gont na dachach lśnił płową gladkością jak tafta. Przed oknem widać było krępką plot z poprzecznych desek, bardzo wysoki i również okryty daszkiem. Plot, oddziela sąsiednią „posesję”. Tuż za nim stoją czereśnie i włoskie orzechy. Nieco dalej widać siwe dachy, przyciemnione od deszczu, o ładnych wygięciach i spadach. Wszystko w pielistej zieleni.

— To wygląda jak zagroda ze „Starej baśni” — mówię.

Brat Wandy poinformował nas, że Frampol istnieje dopiero dwieście lat.

To nic nie szkodzi. Dwieście lat temu wsie budowały się jeszcze tak prawie jak za Piastów.

Okolo piątej deszcz przestał padać. Wyszliśmy, żeby zobaczyć jak jest wszędzie.

Ulica, na której mieszkamy, nazywa się Butlerowska od Franciszka Butle-  
ra, założyciela tej osady.

Wszystkie ulice są do siebie podobne: są piaszczyste, nie wybrukowane i wygradzone plotami.

Za plotem domki, barwione lakmusem — od bladych do szafirowych, stoją do ulicy to znów frontem. Ogródek wszystkie bez wyjątku zarośnięte piwoniami i cesarską koroną. Oprócz tego przed każdym domem czereśnie i orzechy. Orzechy są bogactwem Frampola.

— Jak kto ma ze trzy drzewa — a jeszcze, żeby urodziły — to się nie ma o co trapić — mówią tutejsi ludzie.

Orzechy i płótno. Kiedy deszcz przestał kołatać, słychać dalej, jak pukają tłackie czółenka.

W domach pukają czółenka, a na ulicy skrzypią żurawie.

Każda ulica ma swoją studnię z niebotycznym żurawiem, który ziewa i stęka. Nasza studnia ma dziesięć metrów głębokości i konew pięknego kształtu obitą żelazem. Wanda nabrała nią wody — ja nie mogłam objąć drąga, ale jak jeszcze raz tam kiedy pojedę, to nabiorę — choćby to miało nieprędko nastąpić. Spodziewam się, że studnia ta jeszcze będzie — gdyż cywilizacja prędzej, sądzę, dojdzie do Sahary niż do Frampola.

Studnie są tu — jak w czasach Pisma Świętego, miejscem spotkania ludzi, wymiany zdań, wypowiedzenia się, opinii, tudzież zawierania znajomości — jednym słowem rodzajem klubów społeczno-towarzyskich. Gdy ludzie składają przy nich nosidła i stawiają naczynia, gdy konie parskać u koryta — głosy te wzmacniają rezonans głębi, nadając mu brzmienie, pełne obrzędowego dostojenstwa. Przy studni też poinformowano się, kto my jesteśmy, po co przyjechalibyśmy, jak długo tu będziemy.

Podczas kiedy Wanda nabierała wodę, co trwało około dziesięciu minut, ja siedziałam na laweczce pod orzechem i patrzyłam.

Na mnie zaś patrzył (przypatrywał się) odgrywa wielką rolę w życiu

Frampola) mały chłopiec, cokolwiek usmarkany. Dałam mu cukierek.

— Co się mówi? — spytałam.

— Do widzenia — odparł grubym głosem.

Teraz poszliśmy zobaczyć cmentarz. Szliśmy ulicą, gdzie po jednej stronie stoją domy w ogrodach, a po drugiej stodoły. Stodoły są kryte strzechą, a strzecha jest kryta mchem.

Nad wrotami wszędzie ciekawe starożytności, ładnie wybiegające naprzód i wsparte na kroksztynach prostowatej roboty. Takich „stodolnych” ulic jest tu dużo. Stąd wychodzimy na pola mocno faliste. Na prawo cmentarz żydowski wygląda bardzo pięknie, jako żalobny fragment krajobrazu. Wysokie, zupełnie czarne sosny o wyjątkowo malowniczych konarach, objęte ciasno murem z kamienia. Żadnej innej zieleni.

Cmentarz katolicki jest na prawo. W drzewach, siejących kroplami desz-

czu, gwiżdżą wilgi. Groby zagajone soczystą zielenią, pełną dzikiego kwiatu. Pomniki z tutejszego kamienia, takiego jakiegoś wapienistego piaskowca.

Frampolski rzeźbiarz ma o wiele więcej gustu niż kamieniarze, którzy się rozsiadli koło Powązek w Warszawie. Pomniki są proste.

Napisy na pomnikach odznaczają się za to swoistą ortografią.

Na jednym z nich znajduje się następujące epitafium:

Katarzyna Miazgowa  
z Oszustowi  
czow zmarł  
a dnia 3 cze  
rwca  
Życiowy masz te pamiątkę  
postawił wraz z dziećmi.

[...] Deszcz zaczął znowu padać — ale pomimo to koło cmentarza tętniła piłka nożna. Jest to prawie jedyna postać „współczesności”, która tu żwawo dociera.

## Życie handlowe Frampola

OBUDZIŁYŚMY się bardzo rano z powodu much. Pogoda była przesłonna i w pokojach pełno rumianego słońca. Stwierdziłyśmy, że we Frampolu nie ma prawie ptaków śpiewających. Nie ma słowików, nie słychać nawet kukulki, chociaż podobno jest. Wróble tylko ostro ćwierkają. Kiedyśmy się ubrały, przyszła Sajowa, wyniosła brudną wodę, nabrała w usta czystej i zaczęła nią parskać po pokoju. Skropiwszy go w ten sposób, zamiotła bardzo skrupulatnie i skromnie wyszła. Ruszyliśmy „na miasto” — „badać życie”. Wszędzie było cicho, gdyż wszyscy mieszkańcy poszli sadzić kapustę, a dzieci w szkole. Echa lekcji dochodziły niekiedy stąd i zowad. Na jednej ulicy słychać było głos jakiejś roboty. Poszliśmy tam. Tak jest, ulicę tę brukowano. Wysoki, siwowłosy pan Oleszek, jeden z patrycjuszów Frampola, co tam też robił, głównie reprezentując powagę przedsięwzięcia.

— Czy tu można kupić leżak — spytałyśmy go, gdyż potrzebowałyśmy takiego sprzętu nie dla siebie, tylko dla brata Wandy, który powinien leżeć na słońcu dla zdrowia.

— Nie — odparł — tu u nas ludzie stworzeni są do pracy — i spojrzal su-

rowo. Okazało się jednak, że ma sklep, w którym są inne rzeczy do kupienia. Wstąpiłyśmy na ganek pod cień dzikiego wina, a stamtąd do obszernej izby z towarem. W sieni stały narzędzia rolnicze.

— Jeżeli był leżak, to tylko u mnie — rzekł, pokazując je, Oleszek.

[...] Zapytałyśmy o miejscową cermikę, gdyż słyszałyśmy, że są tu garniturze.

Nie — Oleszek ma towar warszawski, przywożony z Bilgoraja. Powiedziałyśmy, że u naszej gospodyni jest garnet „tutejszy”, którym czerpiemy wodę do mycia. Jest bardzo przyjemny.

Oleszek słyszał o tym.

— To jest ładne poniekąd — rzekł wyrozumiale, po czym dodał, że na to trzeba być na jarmarku. Wczoraj właśnie był jarmark, ale myśmy przyjechały za późno.

Teraz poszliśmy zobaczyć, co jest w kooperatywie. To samo, co u Oleszka, i oprócz tego beczka marmolady.

## Śladem reportażu Marii Dąbrowskiej

# Czas się zatrzymał?

Lidia Wójcik

LUDZIE noszą tu twarze odkryte. Maski nie zatrzymują marzeń ani złości. Niczego, zdaje się, nie mówią, nie odgrywają według umyślnego wcześniej scenariusza, nie ma w nich aktorstwa, albo bardzo niewiele. Podobno im kraj bardziej cywilizowany, tym bardziej aktorski. A tutaj... szczerze, to może zbyt wiele, ale prostolinijność, otwartość, zwyczajność. Może dlatego, że ludzie żyją tu niewiele, zaledwie 1500. (Według spisu z 1921 roku liczba ludności we Frampolu wynosiła 2720, w tym ponad połowę stanowili Żydzi.)

Niziułkie wzgórza, pocięte w szachownicę zagonów, przytulają niewielką miejscowość, niedługo na wprost żydowską miejscinę — o czym stale tutaj ludzie przypominają. Dwadzieścia dwie uliczki układają się w kwadraty. Układ urbanistyczny osady, jeden z dwu takich zachowanych w Europie — o czym we Frampolu dowiedziano się zupełnie niedawno — staje się powoli nadzieją, której można się uczyć, aby budować marzenia o byciu bliżej „wielkiego świata”. Był niegdyś we Frampolu ratusz pośrodku rynku. Zburzony w czasie wrześniowego bombardowania w 1939 roku, nie zdolał się już podźwignąć.

— A po co nam ratusz? — usłyszałam w budynku, gdzie rezyduje obecnie miejscowa władza. Na miejscu osiemnastowiecznego ratusza stoją teraz dwie białe jakie budynki, jedna jest przystankiem autobusowym, w drugiej pomieszczono księgarnię. Zachowały się jeszcze przy rynku chyba ze trzy przedwojenne kamieniczki, ale nikt tu nie umie powiedzieć dokładnie, które to są.

Zajeżdżam do Frampola akurat w samo południe. Dzwon kościelny odzywa się na „Anioł Pański”. Na rynku przy księgarni trzech drobnych pijawek wita mnie radośnie.

— Zobacz, Kaziu, jaka pani do nas przyjechała.

Pytam o zajazd. Jakiś starszy człowiek objaśnia drogę i dziwi się: — A pani tam po co? — Idziemy razem do sklepu spożywczego. Kupuję suchą bułkę, a mój rozmówca znowu okazuje zdziwienie: — Co pani tak skromnie? To prawda, że tu teraz nie ma dobrego. Ten sklep jest jeszcze od przed wojny. Ale dawniej Izraelcy wszystkie towary tu mieli, tylko że drogo było, oj jeszcze jak. Skórę z człowieka ściągali.

Idę wzdłuż szosy wiodącej do Bilgoraja i potem dalej w kierunku Przemyśla. Mijam „stodolne” ulice. Przy Polnej syplą się akurat otrząsane z drzewa orzechy. Drzew orzechowych jest tu pełno wszędzie, chyba więcej niż jabłoni. Stodoły, skrzypiące, zarte rdzą ramiona ulicznych wodociągów. Domki drewniane, szare, obrośnięte malwami i różą. Na oknach dojrzewają pomidory i gruszki. A zaraz obok nowe domy, kamienice — jak tutaj mówią. Styl powszechnie znany, „kostka polska”.

Zajazd „Złoty Jan” usytuowany w zupełnym pustkowiu. Łąki, woda, las. Pokoiki małe, przytulne, wszystko wyłożone drewnem. Meble także autentyczne drewno. Żadnych gości, pustka.

— Będzie tu pani sama tylko mieszkać, teraz jest nieczynne, więc nie ma nikogo — objaśnia kierowniczka i wręcza mi dwa klucze. Muszę więc strzec wynajętego pokoju i drzwi wejściowych do hoteliku, bo nie ma tu na razie recepcjonistki.

Wieczorem, kiedy wracałam z wędrowki po Frampolu, życie w „Złotym Janie” wyraźnie już ożyło. Okazuje się, że to chyba miejsce towarzyskich spotkań obywateli Frampola, bo jest „Leżajsk”, czysta, sładzik w oleju i żelona lemoniada. Ludzie znają się wszyscy wzajemnie, mają zatem zwyczaj przypatrywania się obcom. Zrazu więc wzięło mnie za kierowniczkę zajazdu. Bo podobno kierowniczką jest nowa i nie wszyscy ją jeszcze znają.

Jem kolację w zajazdowej restauracji. Do mojego stolika zbliżają się rozmaite osobnice. Przysła-

ją na chwilę, oglądają mnie i odchodzą. Kelnerka, podając herbatę, pyta:

— Pani tu spł na gorze? I nie boi się pani?

— Nie.

— A wie pani, latem były kolonie, mieszkała w hoteliku higienistka i wychowawczyni, to chodzili tu po dachu w nocy... No, nie, nie żadne chuligan... Wie pani, wypili sobie piwko i o tak...

Niemal wszyscy we Frampolu dziwowali się mocno mojemu przyjazdowi. Nie bardzo też wiedzieli, jaka to gazeta ta „Kamena”, i nie pojmowali, czego ja tak naprawdę chcę, ale opowiadali o wszystkim życzliwie. Pani Barbara Gajur, kierowniczka gminnej biblioteki, wywołana wręcz z domu, z urlopu, ona jedna chyba naprawdę ucieszyła się.

— To dla nas święto, że tu zechciał ktoś zająć i zainteresować się nami! — Wędrujemy razem po uliczkach Frampola, opowiada o życiu tutaj, o nastrojach i ludzkich wyobrażeniach. Rozmawiamy o reportażu Dąbrowskiej.

— A żyją jeszcze we Frampolu ludzie, którzy pamiętają pobyt pisarki. — Pani Barbara proponuje wizytę u Marii Król. To w domu jej matki gościła przed 60 laty Dąbrowska, Czekałyśmy długo przed furtką. Wreszcie wychodzi srebrna, lecz jeszcze dobrze trzymająca się siedemdziesięcioletnia pani.

— Ach, Maria Dąbrowska. No tak, była tu, ale ja już nawet nie pamiętam, czy to u nas, czy u Sajów mieszkała, dzieckiem przecież wtedy byłam. Wiem, że moja matka gotowała dla niej. Tak sobie myślę, dlaczego ona tak nieżyłwie o nas napisała? Ale to chyba przez to, że ten brat jej przyjaźniłki popełnił tu samobójstwo. To był profesor gimnazjum, Władysław Kociell, ale to przecież nie z winy Frampola skończył z sobą, był chory na gruźlicę kochi.

— Bo musi pani wiedzieć — podchwytuje pani Barbara — że u nas przed wojną to była i szkoła powszechna im. Piłsudskiego, do dzisiaj jeszcze zachowana, i także gimnazjum; mieściło się w prywatnych domach. A dzisiaj co, nawet szkoły zawodowej tu nie ma. Młodzież ucieka stąd i potem już nie wracają. Bo tak właściwie to u nas nie ma pracy, tyle tylko, co GS, SKR, gospodarka komunalna i jeszcze ta spółdzielnia „Rękodzieło Artystyczne”. To zresztą tradycje tego regionu, przed wojną był tu zakład tkacki, a krośna to chyba od zawsze w każdym domu.

Wędruję w stronę cmentarza. Najpierw krękił ogrodzony plotem kamiennym. Właściwie kilka drzew i parę kamieni obłuczonych, i tablice z blachy informujące o masowym mordzie Żydów



# Ochłzycie!

— 3 —

## Pęknięcia

Krystyna Dubik

WIELKI trzeba było zachodu ze strony teściowej, która (o dziwo!) oszczędnie „przełmaczyła” swemu synkowi, że kobiecie nie wolno usunąć pierwszej ciąży: „Przeć to twoja żona, synku, to będzie twoje dziecko! Ale mówiliśmy ci: »Nie żen się«. A tyś nie posłuchał”.

Wszystko wynagradza macierzyństwo. Myślę, że to właśnie są jedne z najszcześliwszych dni kobiety. Cóż za niewypowiedziane uczucie przepelnia jej serce, kiedy to oczy jej po raz pierwszy oglądają owoc swojego życia, swojej miłości, ze złudzeń całkiem jeszcze nie odartej. Cóż może być ciekawszego, wspanialszego nad to nowe życie? Radość macierzyństwa jest cichą nadzieją, nagrodą za lzy, zniewagi, upokorzenia, niepewność, za niepokoje bezsennych nocy. To wszystko nagle staje się nieistotne. Liczy się tylko ta maleńka, bezradna, śliczna różowa krużyczka.

Jak szybko kobieta zapomina o bólu! Z uwielbieniem, z tkliwością patrzy na to niezwykle arcydzieło natury, która z taką precyzją i dokładnością ukształtowała małego człowieczka. Widać brewki, rzęsy, śliczne, regularne rysy, tylko kolor oczu niełatwy jest do ustalenia; zabawne, jak u lalki, rączki, paluszki nawet z paznokciami i „księżycem” le dwie widocznym. Dziwnym odkryciem jest to, że w takim maleństwie co dnia widać przemianę na jego korzyść.

Pamiętam; był urodzaj na dziewczynę, a ja urodziłam syna. Mój synek na sali niemowlaków był jedynym chłopcem między jedenastoma noworodkami. Nazwano go Królewiczem. Tym bardziej byłam dumna z mojego rodzyńka.

Jego ojciec tyle, że zabrał nas z tego szpitala do domu, ale zupełnie bez entuzjazmu. To już nie był ten sam Staszek. Dziecko zamiast go przyciągać, wywarło na nim wprost przeciwny skutek. Jak gdyby go odrzuciło... Teściowej było nawet przykro, że jej syn nadal zachowuje się jak kawaler i wcale się z tym nie kryje. Z pracy wraca coraz później, a jeśli wcześniej, to tylko po to, żeby się przebrać i dalej goni odświeżony jak na randkę, jakby się mścił za to, że pozwoliłam temu dzieciątku ujrzeć ten przedziwny świat.

„Ach, bo ty nawet nie wiesz, ile Staś wycierpiał, on w ogóle cudem żyje, na dobrą sprawę nie wolno mu się było żenić, zabronił mi komukolwiek o tym mówić, mój Boże, po co mu to było?” — lamentowała teściowa, próbując usprawiedliwić syna.

Czymże jest miłość, jeżeli nie potwornie ciężką chorobą, więzieniem najciemniejszym? Próbowałam nie okazać swego bólu, swojej porażki. Zaczęły się bezsenne noce, anemia, zemdleńca. Zgasł uśmiech, wydłużyla się zmizerowana buzia, nawet wiecznie podkrążone oczy straciły dawny blask.

Nie wolno mi było nadal, pojedynczo gdziekolwiek wychodzić. Od urodzenia dziecka nie wyszliśmy też we trójkę ani razu (jak gdyby się mąż go wstydział) toteż sama z maleństwem w starym wózek, otrzymanym od siostrzenicy Staszka, wychodziłam na spacer. Od czasu do czasu spotykałam koleżanki ładnie ubrane, które już też były po ślubie, przeważnie spacerowały one razem ze swoimi mężami. W ich oczach widziałam tyle radości i szczęścia! Wszystkie pechały nowe wózki. Zaczęłam się prawie chować, bo i klamać dobrze nie umiałam.

Synek miał dwa miesiące, gdy z radością mąż i teściowa nas się pozbyli. Teściowa sama odprowadziła nas na dworzec, traktując mnie raczej jak służącą, a nie synową. „On się uspokoi, jemu to przejdzie, siedź tam na wsi, ile się da, ja ci dam znać, kiedy masz wrócić” — mówiła pocieszająco.

„Ciągoty do pisania” sprawiły, że nadal prowadziłam korespondencję z najbliższą rodziną. Skorzystałam z zaproszenia siostry mojej mamy. Jechałam w kierunku Słupska i dalej na wieś Gardna Wielka. W Słupsku już czekał na mnie wuj z furmanką. Widać bardzo kochał dzieci, gdyż kazał mi się udać z małym na dworzec, żeby go przewinąć, w ogóle był bardzo troskliwy i opiekuńczy. W domu sam nawet go przewijał. „Piękna kupa — mówił zachwycony. — Zdrowe dziecko, ale matka coś zmarniała”. Ciocia Mela już od samego rana przynosiła mi do łóżka rozrute żółtko z ciepłym jaszczką, wprost od krowy, mlekiem i zaglądała do synka, którego karmilał pierśią. Właściwie to dopiero u wujków mój Mareczek zaczął nabierać ciała, a i ja w przeciągu kilku tygodni przybrałam trzy kilogramy na wadze. Wujek, wiedząc że lubię zdjęcia, nawet fotografa na niedziele zamówił, żeby małego uwiecznić. Byli tam jeszcze inni krewni, którzy przechodzili oglądać mego synka. Pani Raubowa, też jakaś dalsza krewna, znana była z ostrego języka; patrząc na malca zapytała: „Dziecko jest, a ojca nie ma?”. „Przeć

różnie, ciociu, bywa” — mówiłam uśmiechnięta. „Podziwiam, że mówisz to z uśmiechem” — odrzekła.

To „podziwiam” słyszałam w życiu bardzo często. Niekiedy mnie irytowało. Tymczasem mój mąż, właściciel okazałej księgarni z wypożyczalnią książek, żył niczym lord. Jego mamusi i siostrze z córeczką też się właściwie nieźle wiodło. A ja? Co zrobił ze mną? Co czeka to na razie niesławne maleństwo? I cóż mu powiem, gdy dorosnie i zapyta o ojca?

Wujek dodatkowo prowadził skup odpadów i szmat. Z niektórych można było jeszcze coś wyzłazować. Pamiętam, jak w tym grzebalam, szukając czegoś, co by się nadało na kapkę i poduszeczkę dla Mareczka.

Od teściowej wciąż nie było wiadomości, natomiast któregoś dnia nadszedł tajemniczy telegram: „Przyjeżdżaj natychmiast — ojciec”. Nigdy nie wierzyłam w to, że zginął Iuż z ludzi grzebanu, a onj potem wracali? A może to od Staszka? Ale ten się do ojcostwa nie przyznawał. „Cóż to znowu za niespodziankę los mi szykuje?” — myślałam, wracając do Włocławka z moim słodkim przvytkiem na ręku. Stojąc na dworcu, nie bardzo wiedziałam dokąd mam się udać. Do męża, który nie chciał zaakceptować własnego syna, czy też do mojej matki? Może rzeczywiście jest ona już z ojcem? Szłam z dziecikiem i z koszem pełnym pieluszek na stare śmiecia, do matki. Zapukałam jak niegdyś, w okno, otwierając okiennicę z serduszkami wyciętymi w środku. W lufiku ukazała się nieczym zjawą po latach, znajoma, chociaż mocno zmieniona, twarz ojca. Głos zamarł mi gdzieś głęboko, dławiony łzy. Sciskaliśmy się bez słowa. Czulałam, jak drży, jak wstrzymuje łkanie. Długo trwałimy w tym niemym uścisku. „Ach, tak! Najdroższy mój! — przemówiłam pierwsza. — Ważne, że jesteś, że żyjesz, zobaczysz, jakiego masz wnuka” — mówiłam, próbując rozładować sytuację. „Matka w szpitalu” — oznajmił. „No właśnie. Zauważyłam puste łóżko...” Nie tylko puste łóżko. Zauważyłam także moje odesłane przez męża manele.

Mamie tym razem usuwano wyrostek robaczkowy. Ojciec był zmieniony nie do poznania. Postarztał się, posiwiał. I jeszcze te włosy ostrzyżone na jeża. Znikł z twarzy, wyraźnie opuchniętej, jego dawny uśmiech. W jasnych, jakby przejrzystych oczach tkwił bezdenny smutek. „Zostawiłem was w dobrobycie, w zabezpieczeniu na co najmniej parę lat, a znajduję taką nędzę!” „Tatko pójdę do pracy, poradzę sobie, zobaczysz niepotrzebnie się zalamujesz” — mówiłam, nadrabiając miną, ale on mi przerwał, oznajmiając twardo i zdecydowanie: „Wrócisz do męża! Ja matkę zabiorę na Ziemię Zachodnią. Ty z mężem tu zamieszkacie”. Tak postanowił. A od tego, co postanowi ojciec, nie mogło być odwołania. Przyznał, że z nim już rozmawiał „jak mężczyzna z mężczyzną” że mu rzucił prawdę w oczy, iż takie maminsynek nie powinny zamykować świata niewinnym dziewczynom.

I tak moi rodzice, sami na dobrą sprawę potrzebujący pomocy, pozostawili nam z takim trudem zdobyte mieszkanie. Osiedlili się w Wolinie Pomorskim, na którego cmentarzu dziś spoczywają.

Prawie rok miał nasz synek, gdyśmy mu urządzili uroczyste chrzciny. Chrzestnym był ten sam przyjaciel Staszka, który występował w roli świadka podczas naszego ślubu, a chrzestną jedną z moich kuzynek ze Szczecinka. Po raz pierwszy nastroj był łącie rodzinny, atmosfera ciepła i przyjazna. Te uroczyste chrzciny dziecka jak gdyby nasze małżeństwo na nowo przybliżyły, scementowały. Zapaliła się iskra nadziei.

Staszek likwidował księgarnię. Mieszkanie mieliśmy już jako tako urządzone. Teraz zaczęliśmy poszerzać nasze gospodarstwo, wykorzystując pomoc młodego Niemca, Noldek miał już szesnaście lat. Nie chciał jechać z moimi rodzicami do Wolina. Tu był jego rodzinny dom, tu czuł się najlepiej. Staszek kupił pięć świni dziesięć kur, złożył gołębnik zdobył gdzieś rasowego kilkumiesięcznego wilczura, z Noldkiem szykowali klatki, gdyż i królik zamierzał hodować. A nasz synek stawił już pierwsze kroczki... I chociaż Staszek wciąż nie mógł znaleźć pracy, ja, przyzwyczajona do niedostatku, wcale nie narzekałam. Od czasu do czasu odwiedzały mnie moje dawne koleżanki i niemal codziennym gościem był Julek — chrzestny i świadek w jednej osobie. Doprawdy na swój sposób zaczynałam być szczęśliwa. Jakis spokój i ukojenie spływały na mnie, gdy tak stałam nad balia czy też codziennie karmilałam coraz bardziej rozkosznego synka, sprzątałam mieszkanie, przyglądałam się, z jakim apetytem świnię opróżniają koryta i jak niemal rosną w oczach.

Właściwie już sama mogłabym pójść do pracy. Coraz częściej o tym myślałam. Tymczasem poch chciał, że znowu zaszłam w ciążę. Może teraz, kiedy już mamy mieszkanie, ogród i jakie takie gospodarstwo, nie będzie się tak rzucił? — myślałam naiwnie o mężu. Tylko dwumiesięczną ciążę można zlikwidować, a tu mijają tygodnie i już trzy miesiące, a ja wciąż nie mam odwagi, żeby mu wyznać prawdę. Modłę się, żeby mi pozwolił urodzić. Chciałam mieć córeczkę. Zawsze miałam słabość do takich ślicznych małych dziewczynek. Mareczka kochałam bardzo. Na pewno cieszyłby się z małej siostry.

Krótko mówiąc, następna ciąża stała się pretekstem do kompletnego rozkładu. „Daruj, nie będę czekał, aż będzie tego pół tuzina” — powiedział Staszek z ironią. Mimo to nie miałam sumienia, ani odwagi, z trzymiesięczną ciążą zwracać się do lekarza. Nie mogłam też przeboleć, że przez męża wyemigrował nagle do Niemiec Noldek, który tak bardzo by się teraz przydał. Ponadto ledwie chłopiec się wyprowadził, a już przyszedł nakaz opróżnienia jednego z pokoi, że niby to za ścianą gnieźdzą się dwie rodziny...

I znowu szpital św. Antoniego, w którym tak długo leżała mama. Teraz ja tu się znajduję z kolejnym porodem. Tym razem do porodu szłam z domu zupełnie sama. Ostatnio przychodziła na noc córka sąsiadki, panna Marysia, ale że to była akurat sobota, Marysię kociła zabawa. Czekaliśmy na nią koleżanki jakże nie pójść? „Przeć dzisiaj chyba panj jeszcze nie urodzi? — pytała. — Ja tylko do północy i nikt się nawet nie dowie, że była pani sama”. „No, niech ci będzie, ale tylko do północy, pamiętaj” — prosiłam.

Tymczasem już po godzinie zaczęło coś się ze mną dziać. Może to tylko jakieś ślepe bóle, które mijają? Chociaż drugi poród był a i szybszy, i lżejszy. Tak twierdziły starsze, bardziej doświadczone mamy. Postanowiłam czekać do północy, do powrotu Marysię. Co prawda już nie mogłam uleżeć. Bóle stawały się coraz silniejsze i coraz częstsze. Na wszelki wypadek ubrałam się i spacerowałam po pokoju, niecierpliwie patrząc na zegarek, to znowu wyglądając przez okno. I tak północ przeminęła, a Marysi jak nie było, tak i nie było. Teraz nastąpiły bóle krzyżowe i nie należało ich lekceważyć.

Wyjątkowo ciepła i pogodna noc październikowa. Ulice o tej porze całkiem puste. „Żeby tylko nie urodzić gdzieś po drodze, żeby tylko dojść szczęśliwie!” — myślałam, odruchowo łapiąc się to za podbrzusze, to znowu za krzyż. Przystawałam, chwytając się ulicznej latarni albo trzymając się plotu. Nagle czarnał mnie łęk, że wyszłam może za późno, gdyż bóle były coraz częstsze i coraz ostrzejsze, aż przykucałam, niekiedy miałam po prostu ochotę położyć się na ziemi.

Dziwnym zbiegiem okoliczności akurat tutaj, w tym kącie, gdzie teraz niemal kładłam się z bólu, niegdyś odpędzałam od siebie Staszka, mówiąc: „Dalej pójde sama, proszę już mnie zostawić!” W jego oczach czaiło się zdumienie, ale i tak wyczuwałam, że szedł w niewielkiej odległości, a potem to już jak cień, wszędzie, gdzie ja tam był i on. „Gdzie może być teraz? — myślałam. — Podobno uciekł nawet z miasta. Czy wszyscy mężczyźni są tacy? Nie, to wprost niemożliwe!”

Mimo już prawie nieustających bólów, przyspieszałam krok. Nad miastem budził się kolorowy świt. Coraz wyraźniej zarysowywały się sylwetki ludzi podążających na dworzec lub do pracy. Sprzątaczkę ulic też już rozpoczęły swoją pracę. Zaraz na sercu zrobiło mi się raźniej, zresztą już plac Wolności, ulica 1 Maja, no i wreszcie Narutowicza...

Szpital wydał mi się niemal drugim domem. Położnictwo przeniesiono do niskiego pawilonu, gdzie niegdyś znajdował się dział wewnętrzny; tam na galopujące suchoty umarła jedna z moich koleżanek. Personel szpitala był już na pełnych obrotach. Jakis młody człowiek przyprowadził swoją żonę. Jakis to miły obrazek, że on aż tak się o nią troszczy, a ona najwyraźniej chce się go pozbyć! Wreszcie odszedł a ona, podobnie jak ja, tuż się wyla kładła na białej szpitalnej ławce. W pewnym momencie powiedziała: „Ja już nie mogę” i weszła do toalety, skąd wkrótce doleciał rozzdzierający krzyk. W otwierających się drzwiach dojrzałam wystające nogi ciężarnej. Krzyk przeszył pawilon i w oka mgnieniu zmobilizował na parterze niemal cały personel szpitala. „Co się stało?” — pytało kilka głosów naraz. „Nosze! — wrzeszczała położna. — Nie widzicie, że kobieta urodziła w toalecie? Ta druga też już prawie rodzi!” Nareszcie ktoś zwrócił uwagę i na mnie. Zdażyłam zobaczyć, jak w pozycji na wół leżącej, oparta o muszle, ledwo żywa, leżała młoda kobieta, podtrzymując swoje dziecko. „Jezus Maria! — panikowała położna. — Wody, szybko, nożyce! Panie doktorze! Pomóżcie mi!”

Ledwie znalazłam się na porodowym łóżku, poczułam ból rozsadzający mi miednicę. Ze też kobiety musza aż tak cierpieć. Cóż mężczyźni o tym wiedzą? Czulałam, jak wielka klucha rozsada mi trzeszczące kości, rozdziera mięśnie i nagle wypstrykuje jak z procy. Co za ulga! Za chwilę niskośliwy głosik. Wiedziałam, że to będzie moja upragniona córka. Ale jeżeli kiedyś ma cierpieć tak jak teraz ja, czy będę mogła jej wówczas pomóc?

Jakże inną była ona od Mareczka! Okropnie owłosiona. „Po raz pierwszy widzę takie długie włosy u noworodka — stwierdziła położna, rozwijając małą i wyciągając spod karczka pozawijane czarne loki. — To nasza miss piękności. Wyobrażam sobie, jaka to będzie pupilka taty!” — dodała, odchodząc. „Ech, babo, gdybyś wiedziała!”

Rzeczywiście moja córka oglądałi wszyscy, nawet lekarze z innych oddziałów. Podczas wizyty jeden z lekarzy podniósł mój wciąż jeszcze gruby, zwisający warkocz i powiedział: „Popatrzcie tylko, i czemu tu się dziwić, że noworodek ma włosy po mamie?” Chociaż namiastka radości na otarcie łez. Przy pierwszym porodzie syn był rodzyńkiem między dziewczynkami z przydomkiem Królewicza, a teraz córeczka „miss piękności”.

Sklamalam, podając się za mężatkę. W Urzędzie Stanu Cywilnego, gdzie nie zdażyliśmy zawrzeć ślubu cywilnego, nie chcą mi wydać metryczki dla córki na nazwisko męża. „Nie macie ślubu cywilnego i na dobrą sprawę nie ma pani nawet prawa do jego nazwiska” — oświadczyła urzędniczka, a wszystkie pary oczu jej koleżanek skierowały się na mnie.

„Tak, panno Krysiu, bałaś się małżeństwa, no więc jesteś nadal panną, a że z dwójgiem dziećmi o różnych nazwiskach? Lepiej kpinę z twojego życia zrobić już nie sposób — uprzytamniałam sama sobie. — Do tego nie potrzeba żadnych komentarzy. Już każdy się domyśli, jakie to z ciebie było ziółko!”

(cdn.)



# Nowe tajemnice planety Mars

Dziesięć lat temu pierwsza sonda kosmiczna wylądowała na Marsie. Od 1976 do 1982 dwie sondy amerykańskie nieustannie obserwowały „czerwoną planetę”. Dzięki uzyskanym informacjom wiemy dziś o Marsie tyle samo, co o Księżycu. Lecz Mars kryje w sobie jeszcze wiele tajemnic. O nich to właśnie piszą na kolumnie popularnonaukowej paryskiego dziennika „Le Figaro” Jean-Paul Croize i Albert Ducrocq.

**20** LIPCA 1976 o godzinie 14.05 sonda Viking I wystrzelona przez NASA (amerykańską agencję ds. aeronautyki i przestrzeni kosmicznej) była pierwszą aparaturą wysłaną przez człowieka, która wylądowała łagodnie na planecie Mars, kończąc podróż wynoszącą rok i przeszło 60 milionów kilometrów w przestrzeni kosmicznej. Po upływie mniej niż pięciu minut od momentu „wylądowania”, 3,5-tonowa aparatura przekazała na Ziemię pierwsze zdjęcia panoramyczne ciała pozaziemskiego, które zawsze najbardziej podniecało wyobraźnię człowieka.

Odkryto krajobraz płaski, ponury, usiany kamykami koloru brązowego, co pozwoliło nam w końcu zrozumieć, dlaczego owa planeta, widziana z Ziemi, wydawała się nam czerwona: Mars jest pokryty rdzą, a jego grunt robił wrażenie jakby był niemal całkowicie oksydowany. Pierwsze zdjęcia oznaczyły początek fantastycznej kampanii „teleeksploracji”, która prowadzona była do 11 listopada 1982 (data odbioru ostatniego zdjęcia zrobionego przez sondy) tym razem w pobliżu równika i w pobliżu bieguna północnego Marsa.

3 września 1976 sonda Viking II dołączyła do „swej siostry” na czerwonej planecie. Dwie sondy, każda oddzielnie, jedna na gruncie planety, a druga na orbicie, działały przez siedem lat bez przerwy. W ciągu pierwszych sześciu miesięcy swej misji pierwszeństwo dano aparaturze umieszczonej na gruncie w celu podjęcia próby znalezienia śladów życia marsjańskiego, mając do dyspozycji niezwykle precyzyjne laboratorium analiz automatycznych zainstalowane na pokładzie sondy.

Jak wiadomo, próba nie została ukończona. Po zmuszonym zeszkobaniu pyłu marsjańskiego obie sondy Viking stanęły faktycznie przed zagadką. Nie odkryły tam życia, ale za to — według terminologii naukowo-badawczej — odkryły „niewyjaśnione procesy chemiczne”. Dziś jeszcze uważa się, że prawdopodobnie niegdyś na tej planecie rozpoczęła się ewolucja biologiczna zmierzająca w kierunku powstania życia. Dziś pozostało nam jeszcze dowiedzieć się, jak daleko zaszedł ten proces.

Tymczasem, mimo względnego rozczarowania ilości informacji zebranych przez Vikingi jest określana jako bieżąca przez uczonych amerykańskich, którzy twierdzą, iż dzięki obydwu sondom Mars jest dziś co najmniej równie dobrze znany jak Księżyc. Na przykład Vikingi umożliwiły poznanie marsjańskich zjawisk meteorologicznych, odkryły występowanie gigantycznych burz piaskowych, co świadczy o aktywności sejsmicznej występującej jeszcze na tej planecie. Reasumując, wykazały, że Mars jest planetą „żywą”, na której człowiekowi o wiele łatwiej byłoby zaadaptować się, aniżeli na Księżycu, który jest ciałem zupełnie jałowym.

W najbliższych latach uczeni chcą wysłać nowe aparaty automatyczne w kierunku czerwonej planety. W 1983 roku Związek Radziecki chce wysłać misję „Phobos” złożoną z dwóch sond, które będą zainstalowane na satelicie marsjańskim tejże nazwy. Z tego obserwatorium prowadzona będzie nowa kampania szczegółowych badań planety. Następnie, w 1990 roku NASA wyśle sondę pod nazwą „Mars Orbiter”, która zostanie umieszczona także na orbicie wokół Marsa w celu uzupełnienia prac kartograficznych i analizy geologicznej za pośrednictwem teledetekcji. W końcu, w 1994 roku, rozpocznie się program VESTA, prowadzony wspólnie przez ZSRR, Francję i Europejską Agencję Przestrzeni Kosmicznej. Tym razem dwie sondy zostaną umieszczone na gruncie Marsa, aby prowadzić badania pobierając próbki gruntu, których analiza może ostatecznie umożliwić rozwiązanie zagadki życia marsjańskiego.

Zadaniem tych mechanizmów będzie w zasadzie przygotowanie do przybycia człowieka na ten nowy świat, dostarczenie wyjątkowo dokładnych informacji o warunkach egzystencji, które trzeba tu wytrzymać. Lecz także, poza biologią marsjańską, sondy powinny umożliwić rozwiązanie pewnych tajemnic geologicznych, jakie kryje jeszcze planeta, mianowicie problemu wody marsjańskiej, który w najwyższym stopniu intryguje międzynarodowe środowisko naukowe.

Dzięki obrazom przekazanym przez sondy Viking naukowcy są pewni, że na powierzchni Marsa płynęła niegdyś woda, tylko nie wiadomo, co się z nią stało.

Dowiedziano, że woda odgrywała niegdyś ważną rolę w ewolucji Marsa. Analiza zdjęć robionych na orbicie przez Vikingi nie pozostawia co do tego cienia wątpliwości: w wielu strukturach odpływowych można dostrzec nie tylko wylewy lawy, ale także stare koryta rzeczne. Obrazy przekazywane z samej powierzchni Marsa ukazują liczne porożbiżane kamienie, co pozwala sądzić, że zostały one naniesione przez wielkie strumienie wody. Prawdopodobnie w ciągu pierwszego miliarda lat istnienia planeta Mars kryła w sobie ocean.

Przekonanie to nasuwa wiele pytań. Najbardziej zasadnicze dotyczy, oczywiście, form życia, które logicznie powinno było pojawić się w tym oceanie. Wiadomo, że na naszej planecie życie biologiczne pojawiło się bardzo wcześnie, niewątpliwie w ciągu pierwszego miliarda lat — Ziemia liczy obecnie 4,5 miliarda lat — biorąc początek z wody i dzięki Słońcu, jako że ono miało przyczynić się do powstania związków węgla, które astrofizycy i biologowie uważają za „cegłki życia”. Czy Mars — o czym dziś wiadomo — zbudowany z tych samych materiałów co Ziemia nie powinien był rozwijać się w ten sam sposób?

Gdyby dane nam było znać wydarzenia, jakie rozgrywały się na świecie, takim jak nasz, korzystającym z

wody i Słońca, byłby to wielki krok w kierunku poznania genezy życia i jego prawdopodobieństwa w rozległym wszechświecie. Badanie Marsa, jeśli osiągnie wystarczająco zaawansowany stopień, pociągnęłoby za sobą także rozwój pasjonującej dyscypliny, paleobiologii, jeśli naukowcy zdołają odtworzyć zjawiska cechujące pierwszy miliard lat naszej planety.

Uwagę zwraca nadal szczególnie inna kwestia. Chodzi tu o tajemnicę wody pozaziemskiej: jeśli niegdyś była obfitość wody na Marsie, to co stało się z nią? Przy ciężkości trzy razy mniejszej niż nasza (ziemska) Mars trudniej zatrzymuje substancje płynne swego środowiska. Dziś tę planetę otacza także atmosfera złożona z dwutlenku węgla i azotu, wyjątkowo rozrzedzona: barometr na tej planecie nie wskazywałby 760 mm, tak jak na Ziemi, ale tylko 7—10 mm słupa rtęci. Wydaje się, że atmosfera marsjańska w miarę oddalania się w przestrzeń kosmiczną powinna zawierać wiele pary wodnej.

Nie jest to jednak dostatecznie wyjaśnione. Obliczenia wykazały, że mimo tego procesu, wielkie masy wody powinny jeszcze znajdować się na powierzchni Marsa. Naukowcy ich poszukują i mają ślady. W atmosferze marsjańskiej odkryto niewielkie ilości pary wodnej... W związku z działaniem wiatrów na pokrytym pyłem gruncie, atmosfera marsjańska zawiera faktycznie liczne, wyjątkowo delikatne pyły... Naturalnie zachodzi tu proces skraplania pary: cząsteczki pyłu pokrywa cienka otoczka lodu, który nocą może wyglądać jak warstwa śniegu, śniegu o zawartości dwutlenku węgla. Cieższe cząsteczki opadają na grunt. Lecz z nastaniem dnia śnieg znika, a na powierzchni Marsa pozostają płytki szronu, który latem wyparowuje, zostaje wchłonięty w atmosferę.

Proces ten powoduje nagromadzenie wielkich mas wody na jednym z biegunów Marsa mianowicie na półkuli południowej. Biegun południowy jest także pokryty lodem o zawartości dwutlenku węgla. Prawie jedna trzecia masy atmosfery Marsa jest mroźna. Inaczej jest na biegunie północnym. Temperatury nie są tak niskie, aby powodowały zakrzepnięcie dwutlenku węgla, a biała powłoka, jaką można zaobserwować przez teleskop, jest zlodowaciałą powierzchnią wody. Jest to lawica lodowa, której grubość sięga, być może, kilometra. Nie do wiary, że badania analityczne terenów marsjańskich prowadzone dotychczas przez aparaty obydwu sond Viking, wykazały, że jest tu mało wody.

To jednak jeszcze nie wszystko. Uwzględniwszy ilość wody już obliczoną, naukowcy uważają, że daleko jeszcze do celu. Wierzą, że w jakiejś części wewnątrz Marsa są ukryte wielkie masy wody; teza o podziemnych lodowcach pod gruntem marsjańskim znajduje coraz większą liczbę zwolenników.

Poszukiwanie tej ukrytej wody — być może siedliska obecnego lub dawnego życia — zapowiada rozwój pasjonującej dyscypliny — speleologii marsjańskiej, która może wystartować bardzo szybko w sposób równie oryginalny jak i skuteczny, w formie telespeleologii. Specjaliści są rzeczywiście przekonani, iż przy wykorzystaniu przyszłej sondy marsjańskiej — naszej kluczowej techniki w dziedzinie teledetekcji (taki będzie cel „Marsa Orbitera”, którego wystrzelenie Amerykanie przewidują w 1990 roku) — można będzie sporządzić mapy stałych zmarzlin i innych formacji podziemnych Marsa.

## Kosy są czy ich nie ma?

**N**A jedno wrześniowe popołudnie wpadli byli do Lublina członkowie Związku Europejskich Muzeów na Wolnym Powietrzu, by zwiedzić Muzeum Wsi Lubelskiej, a potem w byłym pałacu Czartoryskich — siedzibie Lubelskiego Towarzystwa Naukowego — przedyskutować parę nurtujących ów związek problemów.

W swoim felietonie w „Przeglądzie Tygodniowym” (nr 33, z 21 września br.) redaktor Michał Ogórek z niejakim przekąsem tak oto wyraził się o gościach lubelskiego skansenu: „Ożywione zainteresowanie nami [tj. nie tylko Lublinem, ale i innymi skansenami w kraju — przyp. de] wykazuje Związek Europejskich Muzeów na Wolnym Powietrzu. Ponad stu amatorów takich muzeów znalazło nad Wisłą wymarzone warunki do pracy. Przepuszczalnie sprawadziła ich wiadomość, że Polska skupuje na rynkach zagranicznych kosy i widły. [...] Na miejscu okazało się jednak, że o kosę, nie mówiąc o widliach, jest szalenie trudno. Sprowadzona ilość — 200 tysięcy kos i 50 tysięcy widel w tym roku — jest dalece niewystarczająca”.

Zaintrygowana wspomnianym importem kos i widel, poleciałam do najbliższego sklepu z zaopatrzeniem rolniczym — przy ulicy Wolskiej — i pierwsze, co zobaczyłam, to wiszące równo na stojaku... kosy firmy „Gromada” z Fabryki Samochodów Małolitrażowych w Bieleku Białej, a dokładnie — z Zakładu numer 10 w Wapienicy — za jedne 575 złotych, i od „groma” widel, co prawda ogrodniczych, ale widel, wykonanych przez Spółdzielnię Rzemieślniczą w Krasnymku, po 740 złotych sztuka. (Nadaremnie tylko wypytywałam ekspedientki i rolników o importowane widły i kosy. Od dawien dawna takich tu nie widziano, może przy ulicy Krochmalnej, ale do tego sklepu już nie zachodziłam.) Więc gdybyście z europejskich muzeów na wolnym powietrzu tym sprzętem chcieli się w Lublinie zainteresować, to — sorry — jednak byłoby co im pokazać!

(dey)

## Pocztą literacką

Piotr D. Lublin. Część utworów nie sposób nazwać wierszami. Są to raczej felietoniki, mała publicystyka w takim graficznym kształcie, jak zwykło się zapisywać poczę. Mogę podejrzewać że kiedyś spróbuje Pan pisać prozą. Natomiast dopatruję się pewnych wartości w polowie nadestanych tekstów. Myślę o: „Tak cicho jakoś”, „Upadek wlotu”, „Pod koniec dnia”, „Niedorzeczność słów”, „Prośba”, „A czy tam będą parki zielone?” i „Związkowanie uczucia”.

Proponuję w którymś z piątków odwiedzić redakcję albo redaktorów „Stron” przy Klubie Literackim Związku Literatów Polskich, dyskurujących przy ul. Granicznej nr 9, telefon: 234-49.

Edyta O. Kijany. Kieruję Panią także pod powyższy adres, ponieważ jest o czym pomówić. I o prozalach, i o tym, co wierszem jest, a co nim na pewno nie jest w przedstawionym zestawie.

Bogusław M. Lublin. Jeden utwór, chociaż dość długi, nie pozwala mi się zorientować w Pańskich możliwościach. Jest to sprawny, reporterski opis Lublina i niewiele więcej.

Renata S. Łęczna. Opis, opis, opis. Niech Pani to pisanie potraktuje jako prywatny dziesięć pamiętnik, tyle że wierszowany. Dędzie kiedyś miłą pamiętką.

TJ

## Październik '56

Dokończenie ze str. 3

- 2-3 grudnia — odbyło się plenarne posiedzenie CK SD. Sformułowano na nim zadania dla stronnictwa w nowej sytuacji społeczno-politycznej. Na plenum złożył rezygnację dotychczasowy przewodniczący W. Barcikowski, nowym wybrano S. Kulczyńskiego.
- 6 grudnia — w Warszawie na ogólnokrajowej naradzie został powołany Rewolucyjny Związek Młodzieży.
- 9-10 grudnia — ogólnopolski zjazd działaczy harcerskich przywrócił tradycyjną nazwę: Związek Harcerstwa Polskiego.
- 10 grudnia — w Katowicach proklamowano powstanie Związku Młodzieży Robotniczej.

## 1957

- 2-3 stycznia — w Warszawie odbyła się krajowa konferencja Rewolucyjnego Związku Młodzieży i Związku Młodzieży Robotniczej, na której podjęto decyzję o połączeniu obu organizacji i utworzeniu Związku Młodzieży Socjalistycznej, którego I sekretarzem został Józef Lenart.
- 9 stycznia — ogłoszone zostały wspólne wytyczne KC PZPR i NK ZSL w sprawie nowej polityki rolnej.
- 10-11 stycznia — odbyło się V Plenum ZG ZMP, na którym podjęto decyzję o rozwiązaniu organizacji.
- 14 stycznia — ukazał się komunikat Episkopatu Polski: „Niedziela, 20 stycznia jest w Polsce dniem powszechnych wyborów do Sejmu. Katolicy-obywatele mają w tym dniu speł-

nić swój obowiązek sumienia — wzięcia udziału w głosowaniu. Duchowieństwo katolickie tak pokieruje nabożeństwami, by wszyscy wierni mogli bez przeszkód wypełnić swoje obowiązki religijne i obowiązek wyborów”.

20 stycznia — odbyły się wybory do Sejmu. Wzięło w nich udział 94,14 proc. uprawnionych do głosowania. Na kandydatów FJN oddało głosy 98,4 proc. wyborców.

Marszałkiem Sejmu został wybrany Czesław Wycech. Sejm powołał A. Zawadzkiego na przewodniczącego Rady Państwa, a J. Cyrankiewicza na premiera rządu.

Zestawił: Emil Horoch

# List z Białej Podlaskiej

## Ciemno wszędzie?

MIESZKANCY Białej Podlaskiej do malkontentów nie należą, lecz i oni sarkają na stan życia kulturalnego w mieście. Mimo istnienia kilku domów kultury, dwóch kin i kilkunastu świetlic oferta kulturalnego spędzenia wolnego czasu jest żałostna. Odczuwają to boleśnie nie tylko młodzi. Sporadyczne występy zespołów folklorystycznych, cyrku czy rewił kaskaderów samochodowych problemu nie rozwiązują.

Nie od dziś w Białej trapi wiele osób pytanie, co zrobić z długimi wieczorami. Pytanie pozostaje wciąż bez odpowiedzi. Prawdę mówiąc, wieczorne spacerowanie w Białej wskazane. Na wielu ulicach brakuje oświetlenia, co przy licznych wykopach w różnych punktach miasta jest szczególnie niebezpieczne. Prace „wykopali-skowe” trwają na dobrą sprawę od paru lat i końca na razie nie widać. Dodatkowym przeciwwskazaniem przed wieczornymi eskapadami mogą być „czwartaki”. Tak nazywają w Białej Podlaskiej mocno zawianych zwolenników napojów wyskokowych, nabywanych w czasie czwartej zmiany w licznych młynach. Spotkanie z wesółym towarzystwem, opuszczającym jedną z melii przy

placu Wolności, do atrakcji nie należy. Przekonał się już o tym wielu znajomy.

Pijacy to jedna z plag miasta wojewódzkiego, ale nie jedyna. Na drugi plan wysuwa się czystość i estetyka. Zdawało się, że po sławnej wizycie inspektorów GIT (jesienią ubiegłego roku) skandaliczna sytuacja ulegnie radykalnej poprawie. Ale diabła tam! W samym centrum miasta mieszkańcy czynszowych kamieniczek wciąż wylewają nieczystości wprost na podwórko. Fotor bije straszny, lecz władze miejskie pozostają bezsilnie wobec niesfornych „porządniczków”. Przydałoby się w tej mierze bardziej skuteczna interwencja. Drobnymi mandatami nie zmieni się wieloletniego nawyku.

O czystość powinni dbać wszyscy, nie tylko władze municypalne, a tak wcale nie jest. Jakże często po nocnych wyczynach krewkich młodzieńców można zauważyć rano wyrwione kosze na śmieci, zniszczone gazony z kwiatami, zerwane plakaty czy rozkład jazdy na przystankach ZKM. Młodzież musi się przecież wyszumieć, a skoro brak innych atrakcji, pozostają te najbardziej prymitywne.

Wspomniałem niebacznie o komunikacji miejskiej. Jest ona wyjątkowo sprawna i bardziej punktualna niż w Lublinie. Pracuje jednak za krótko. Nocni podróżni muszą liczyć tylko na własne nogi, bo nawet na dworcach PKS i PKP trudno o taksówkę. W nieciekawym położeniu znajdują się ci wszyscy, którym los zgodził wieczorną lub nocną wizytę w Białej. Miasto nie dorobiło się jeszcze hotelu, a baza noclegowa jest mniej niż skromna. Do dyspozycji gości pozostaje zajazd „U Radziwiłła”, oddalony o kilka kilometrów od centrum i licho wyposażony Dom Wycieczkowy PTTK. I pomyśleć, że w niedalekim Janowie Podlaskim odbywają się co roku aukcje koni arabskich, ściągające wymienionych gości z całego świata. Zastanawiam się, jak zareagowałby możni kontrahenci z USA, Francji czy Arabii Saudyjskiej na warunki noclegowe i estetyczne Białej Podlaskiej. Przyznam, że wstyd i sromota trwałyby dłużej, niż po wizycie ekipy kontrolnej generała Drzazgi.

Smutny w tonie list wypada zakończyć optymistycznym akcentem. Otóż wybiera się do Białej z wizytą Krystyna Głowska w towarzystwie dinozaurów rocka: Ady Rusowicz i Wojciecha Kordy. Ciekawe jaką będą mieli frekwencję?

Tomasz Węgrzyn

# Archiwum mistrzów anegdoty

W kawiarni podszedł do Juliana Tuwima nieznanomy mężczyzna.

— Przepraszam, ale zdaje mi się, że pańska twarz już widziałem gdzieś indziej.  
— To niemożliwe! — odparł Tuwim.  
— Nożę ją zawsze w tym samym miejscu.

Boy-Zeleński spotkał na ulicy znajomą bankiera.

— Może zaofiarowałby pan coś dla nie-szczęśliwość — powiedział piotr.

— Kim on jest?

— Biedną wdową z bliźniętami.

— Jakim sposobem wdowa może mieć bliźnięta — zdziwił się bankier.

— To właśnie jest to nie-szczęście — odparł Boy.

Boy-Zeleński wracał z wieczorka. Spotkał go jeden ze znajomych i zapytał, jak się bawił.

— Cóż szczęście — odpowiedział Boy — że i ja tam poszedłem, bo bez mnie byłbym się zaniósł na śmierć.

W czasie przyjęcia zapytano Agathę Christie, co zauważyła na tym, że została autorką powieści kryminalnych.

— Zagadka, którą usłyszałam w dzieciństwie — odparła pisarka.

— Proszę ją przypomnieć — domagał się goście.

— Pytanie było następujące: pewien mężczyzna zrobił dziurę w spodniach i od tego umarł.

— Dlaczego?

— Dlatego, że był to nurek w skafandrze — odparła Agatha Christie.

Wyszperał: Ryszard Dunia

## Listy do „Kamena” „Bogowie powracają”

Stanowiska Redakcji

W 18 numerze Waszego pisma przeczytałem niezwykle interesujący wywiad z profesorem Krawczykiem. Chciałbym przedstawić kilka refleksji, które nasunęły mi się w trakcie tej lektury. Sprawa dotyczy centralnej jakby części wywiadu, a więc powracania do powszechnej świadomości pojęcia racjonalistycznych, nadechowanych sceptycyzmem i wolnych od metafizyki i fanatyzmu. Pragnąłbym podzielić w tym względzie poglądy Profesora, ale, niestety, nie potrafię. Nie sięgając bowiem daleko, nawet nasz kraj jest dobitnym przykładem dzwonnego i dla mnie nie pojętego natorotu do postaw religijnego fanatyzmu, ucieczki do mistycyzmu i urojenia. To fakt, iż zawsze byliśmy pod tym względem specjalnym przypadkiem w Europie, ale ostatnio ujął się kolejne nasilenie wzrostankowatych wyżej tendencji. Nie zgadzam się również z Profesorem co do przypadku Iranu, gdyż

rewolucja islamska, choć wyrosła z pobudek politycznych, nadal szaleje i stanowi kolejny przykład „ciemnogrodu”. Także w Arabii Saudyjskiej wciąż stordziejom ucinę się ręce i karze ich chłosta. Sądzę, iż pojawiają się na Zachodzie tendencje do powrotu partii konserwatywnych do władzy (Wielka Brytania, RFN, USA) również stanowią niebagatelny dowód na to, iż na prawdziwy triumf postaw racjonalistycznych musimy jeszcze poczekać.

Przy okazji chciałbym podziękować za „Kamena”, która znów stała się piśmem, na które się czeka.

Złączę serdeczne pozdrowienia.

Adam P.  
Lublin

Stanowiska Redakcji

Pragnę podzielić się z Wami krótką refleksją na temat naszego handlu. Otóż jeśli ktoś jeszcze miał wątpliwości, iż nadal powraca on do swojego pierwotnego wymiaru, tj. wymiany towar za towar, powinien jak najszybciej zeweryfikować swoją pomyłkę. Byłem niedawno świadkiem rozmowy między sprzedawczynią z kiosku „Ruchu” i panią, wykonującą ten sam zawód, tyle że w sklepie spożywczym. Rozmowa prowadzona była oczywiście szepcąc na tyle jednak głośnym, by dotarła do uszu stojących wraz ze mną w kolejce amatorów prasy. Pani z kiosku dysponuje atrakcyjnym towarem w postaci „Przyjaciółki” i „Przekroju”, który to towar posłużył na wymianę za kawę. Oferująca ten przysmak sprzedawczyni tłumaczyła się gęsto, iż będzie to tylko kawa „Robusta”. Po ustaleniu ilości pożądanego opakowania czarnego napitka, oraz terminu jego dostarczenia, obie panie naj-

uprzejmiej się pożegnały, pozostawiając w naszych sercach osad żalu, iż nigdy kawy w normalnym sklepie nie ujrzymy. Na domiar złego w kiosku pozostał już tylko „mniejsza z tymi Nikt z nas nie miał wic atrakcyjnego do zaoferowania pani z kiosku i tak odeszliśmy z pustymi rękami i rozterką w duszy. Pieniądze oddałem do skarbanki i gramażkę teraz różne stare bibeloty, aby przygotować niewielkie stoisko na wypadki przechodzenia tamtejszy miłej pani ze sklepu. Pech bowiem sprawiła, iż jestem namiernym kawoszem. Niechby była już i to „Robusta”. Może w końcu uda mi się trafić w gust społecznego dystrybutora dóbr. Trzymajcie, proszę, kieliski.

Z poważaniem

Leszek Woliński  
Lublin

## Czas się zatrzymał?

Dokończenie ze str. 7

i nie wykorzystanym zajęciem. Trochę także o przeszłości Frampola. Najczęściej pan Jasiński, przewodniczący GRN, wyciąga jakieś ciekawostki i osobliwości, a to o przedwojennych ludowych teatrzykach, a to o tradycyjnych poniedziałkowych jarmarkach, na które jeszcze teraz zjeżdżają ludzie aż z Sandomierskiego. Wreszcie gospodarze objawiają swoje zadowolenie z faktu zainteresowania się układem urbanistycznym Frampola przez Stowarzyszenie Architektów Polskich. I przypominają, że mają też znaczących ludzi w świecie kultury, pochodzących stąd.

— Zbyszek Miazga ze „Sztandaru Ludu” — powiada pan Jasiński — jego ojciec miał tu kiedyś piekarnię.

— I taki znany reżyser teatralny — dodaje dyrektor GOK — no... a, Józef Jasiński, teraz chyba w Legnicy.

Dumą Frampola jest fakt powstania ostatnio spółdzielni mieszkaniowej, bo w półtoratisięcznym Frampolu podobno około 150 rodzin chce mieć mieszkania w blokach, ale bloków jeszcze nie ma. A ludzie z okolicznych wsi wciąż napływają do

Frampola, pojmując możliwość życia tutaj jako społeczny awans.

Z Urzędu Gminy wędruję do domu kultury, mijam po drodze pijalnię piwa. Podobno we Frampolu nikomu jeszcze nie przyszło do głowy, że w okolicy piwnej pijalni niezbędna jest toaleta. Dwie starsze panie narzekają:

— Urządzili sobie pijacy obok domu kultury odkryte szambo, zaraz przy ulicy.

— Przecież to źródło wszelkiej zarazy, chorób, może być z tego żółtażka, nie daj Bóg, a nikt się tym nie zajmie.

— No, a władze co na to?

— Ech — macha ręką starsza pani — zrobili niby jakiś parawanik i to wszystko.

A druga dodaje zaraz:

— Władze na to nie reagują. Prawie wszyscy pochodzą spoza Frampola, nie mieszkają tu na stałe i może dlatego obce są im nasze sprawy.

— Niech już piją, kiedy muszą, ale i niech Jerka kultura też będzie. Choć i aż serce się ściera, że tyle tam młodych!

Hm, więc to tak wygląda? A dyrektor GOK-u, Kazimierz Oszust, zapewniał mnie, że tu młodzi ludzie garną się raczej ku wszelkiej działalności kulturalnej (teatr, orkiestra, zespoły ludowe), no i kochają jeszcze sport. O czym miałyby świadczyć usytuowane tuż przy zajezdni boisko i jakiś barak, gdzie mieści się klub sportowy.

Z prezesem tutejszego klubu sportowego, który jest jeszcze przede wszystkim prezesem Spółdzielni „Rękodzieło Artystyczne”, nie rozmawiam o spocie. Oglądam Iniano-bawelniane serwetki, obrusy i kilimy. Gapię się na terkające krosna i migające sprawnie ręce tkaczek. Ponadto przy rozmowie wypijam dobrą kawę. Nabieram więc podejrzeń, że miejscowy GS musi być dobrze zaopatrzony. Niestety, kawy nie udało mi się tu zakupić. Za to w domu towarowym zostawiłam parę groszy, nabijając serwetki i ściereczki, wprowadzić nie miejscowej produkcji, ale za to czysty len i według cen chyba sprzed pięciu lat. Z towarów luksusowych i trudno dostępnych były kozuchy, damskie i męskie, w różnych rozmiarach.

Jeszcze przed odjazdem siedzę w gminnej bibliotece. Pani kierowniczka narzeka szlachnie na ciasnotę, na okropne warunki w jakich znajduje się biblioteka dziecięca (12 mkw.). Opowiada o kłopotach ze strażą pożarną w Woli Radziwieckiej, która ma wolny lokal, ale nie chce mieć kłopotu z filią gminnej biblioteki.

— Kultury nikt nie kocha, ciągle taka bieda. Miejscowy GS nawet groszka nie chce dać na kulturę, prezesi sami dzielą się dochodem.

I w końcu pani Barbara z rozbijającą prostotą powiada:

— Pani napisze. Jak już się tak pani nami zainteresowała, pani nam o poradzi. Może by się też u nas zmieniło co na lepsze?

Napisałam.

wrzesień 1986

Lidia Wójcik

# Gangsterski honor

**C**HARLEY Partanna, bohater filmu Johna Hustona „Honor Prizzich”, wydaje się już od pierwszego ujęcia — gdy „wbity” w czarny smoking uczestniczy w ceremonii ślubnej dwojga przedstawicieli gangsterskiej „rodziny” Prizzich — postacią tak szarą, zwyczajną i przeciętną, że aż gubiącą się, prawie bez reszty, w tłumie. Ten dobiegający — jak by można określić „na oko” — czterdziestki mężczyzna mógłby być na dobrą sprawę, prowincjonalnym amerykańskim urzędnikiem, bookmacherem czy sklepikarzem: średni wzrost, skłonność do tycia, twarz o ziemistej cerze, wodniste oczy o leniwym, przyciszonym spojrzeniu...

I w tym wyglądzie tkwi właśnie siła Charleya Partanny. Tego gangstera z dziadą pradziadą, człowieka „do specjalnych poruczeń”, wykonującego na rozkaz mafii wyroki śmierci na niewygodnych, z punktu widzenia interesów „rodziny”, osobach. Otoczony powszechnym szacunkiem w swoim środowisku oraz cieszący się szczególną sympatią szefa mafii, starego don Corrado, posiada Partanna wszelkie dane, aby zająć kiedyś wysokie stanowisko w mafijnej hierarchii. Ze swoją drobnomieszczańską aparycją, takim sposobem myślenia oraz — toute proportions gardées — bardzo, swoiście, drobnomieszczańską moralnością, Charley jako morderca uchodzi oczom policji, nie „wyróżnia się”, nie sprawia wrażenia osoby podejrzanej; jako gangster „z przyszłością” nie drażni, nie budzi uczucia zawiści, lęku, niechęci wśród podobnych mu członków gangsterskiej społeczności.

Jakże inny jest Charley Partanna od krwistego, nie mieszczącego się w żadnych kategoriach, wyrastającego wysoko ponad przeciętność bohatera słynnego „gangsterskiego fresku” Francisca Forda Coppoli „Ojciec chrzestny” — dona Corleone, w którego postać tak brawurowo wcielił się Marlon Brando!

Oto dwa punkty widzenia. U Coppoli — rozmach, „szeroki oddech”, feeria barw, u Hustona — szarość, przyziemność, drobnomieszczańskość tego samego środowiska, które obydwaj oglądają okiem swojej kamery. „Ojciec chrzestny” w takiej konfrontacji jawić się może jako filmowa przygoda młodego, zdolnego reżysera z atrakcyjnym tematem, który wziął na warsztat „Honor Prizzich” to spojrzenie starego, doświadzonego artysty, jednego z twórców amerykańskiej szkoły realizmu filmowego. Reżysera spoglądającego na świat z perspektywy swoich osiemdziesięciu lat i kilkudziesięciu nakręconych przez siebie filmów w sposób chłodny, choć nie pozbawiony sporej szczypty sarkazmu, ironii, a także humoru.

U Hustona gangsterzy są mali, przyziemni, zwyczajni, bez polotu jacyś prowincjonalni. Stary don Corrado przypomina swoim zachowaniem i swym sposobem myślenia prostego, bezwzględniego chłopca z zapadłej sycylijskiej wioski, który może, on sam wyjechał przed wieloma laty do bogatej Ameryki. Ale żyjąc w nowojorskim ghettie Sycylijskich, nie zmienił ani swej mentalności, ani sposobu patrzenia na świat. A to spojrzenie — jak to się często zdarza u ludzi przyziemnych — jest dwutorowe: poczucie honoru, wewnątrzrodzinna uczciwość, religijność idą jedną drogą, a sprawy walki o byt, własnych interesów, własnych potrzeb — drugą, przebiegającą w sposób idealnie równoległy. W takiej sytuacji — jeżeli przyjmiemy, że handel narkotykami, kierowanie domami publicznymi, oszustwa finansowe, hazard to taki sam business jak każdy inny, a skrytobójczy mord to tylko kara, wyrok wykonany na osobniku zagrażającym żywotnym interesom „rodziny”, wyrok usankcjonowany prawami wewnątrzmafijnymi — można bez najmniejszych wyrzutów sumienia grabić, mordować, a zarazem chodzić do kościoła, „modlić się pod figurą”, ciesząc się życiem i uważając się za uczciwego człowieka. Taki właśnie jest don Corrado, tacy — jego synowie, i taki jest bohater „Rodziny Prizzich”, Charley Partanna.

„Honor rodzinny” łączy jednemu z Prizzich wyrzec się własnej córki, która złamała narzeczeńskie słowo, uciekając z przygodnym chłopakiem do Meksyku, zamiast pójść do ołtarza z Charleyem Partanną (który zresztą nie pozwolił się tym nadmiernie dotknięty). Tenże Partanna, chłodny wykonawca „wyroków”, czuje się wyraźnie speszony i zażenowany, kiedy dziewczyna, do której przyszedł, proponuje mu miłość na dywanie, „przy pełnym świetle”. To jakaś naganna „perwersja”, niemoralne „wynaturzenie”; co innego, gdyby to samo stało się na skutek obopólnego, nagłego „porwy zmysłów”. Don Corrado powiada ze wstrętem o małżonce Charleya Partanny: „to złodziejka i płatna morderczyni!”

I oto sedno dramatu bohatera „Honoru Prizzich”. Ow „porządny gangster z przyszłością” zafascynował się, zakochał ślepa, ostatnią wielką miłością mężczyzny około czterdziestki, a następnie ożenił się z kobietą swoich snów, kobietą — aniołem przypadkowo spotkanym, która... jest wysoko cenionym, w określonych kołach, „fachowcem” mordującym ludzi za wysoką opłatą, „na zlecenie”. Irene Walker — zresztą Polka z pochodzenia (w którym to fakcie nie należy się chyba doszukiwać żadnych głębszych, podskórnych znaczeń i reżyserskich niedomówień) — działa na własną rękę, jako „wolny strzelec”, bez żadnych „rodzinnych” uzależnień i powiązań. Zabija dla pieniędzy, a nie dla mafijnego „interesu”, jak to czyni Partanna, uważający się za wykonawcę „prawa”. A w dodatku Irene Walker jest nieuczciwa, jeśli chodzi o pieniądze należące do mafii. To znaczy — do określonej gangsterskiej społeczności. I to już dopełnia, dla don Corrado, i także zresztą dla Charleya, jej męża, miary ohydy. Tyle, że ten ostatni jest równocześnie „obezwładniony miłością”, ślepą miłością do tej pięknej, całkowicie amoralnej (!) kobiety.

I kiedy zapadnie wyrok don Corrado, aby wyeliminować Irene, jako osobnika, który wdarł się do „praworządnej” społeczności, wprowadzając swoją postawą zamęt i destrukcję, posłuszny prawom „rodziny” Charley Partanna, po przejściowym okresie buntu, wykona go. I to mu w ostatecznym rozrachunku, mimo cierpienia, przyniesie jakby ulgę: znów stał się jednym z precyzyjnie obracających się trybów potężnej maszyny — „rodziny”, która myśli i decyduje za niego, która może w pełni polegać na jego oddaniu sprawie, jego uczciwości i jego poczuciu honoru...

W roli Charleya Partanny — rewelacyjny Jack Nicholson, jako Irene Walker — Kathleen Turner; tegorocznego Oscara za drugoplanową rolę kobiecą w tym filmie otrzymała córka reżysera — Anjelica Huston. Film — który powinno się koniecznie obejrzeć.

M. D.



Fot. Andrzej Tyżo

## Muzyka młodzieżowa

### Kombi jubilattem czyli granie do kotleta

**G**DANSKIEJ grupie Kombi stuknęło 10 lat. Z tej okazji w Operze Leśnej odbyła się jubileuszowa feta, rejestrowana przez telewizję i fonografię. Nie omieszkało wręczyć muzykom odznak Zasłużonego Działacza Kultury, wypić szampana i złożyć gratulacji z życzeniami twórczego rozwoju.

Jubileusz jest zwykle okazją do peanów na cześć grupy. W przypadku Kombi pochwalne tony są akurat niepoważne. Nie da się bowiem ukryć, że 10-letnia „kariera” była okresem zaprzepaszczonej szansy. Za namową życzliwych opiekunów, zdolni skądinąd muzycy wybrali kierunek artystycznego kiczu. Zapewnił im on co prawda powodzenie u najmniej wybrednych słuchaczy, ale odbił się wielokrotnie czkawką. Nie da się ukryć faktu, że sprzyjająca tanim gustom muzyka Kombi nie wywołuje zachwytu koneserów i niezbyt wiele ma wspólnego z rockiem, którym chętnie podpierają się muzycy w notatkach reklamowych.

Byli muzycy gdańskich Akcentów — Sławomir Łosowski zdradzał niegdyś fascynację jazzem i nikt nie przypuszczał, że zajmie się on w przyszłości elektroniczną konfekcją dla nastolatków. Ogarnięty pasją gromadzenia syntezatorów, mógł wyczarowywać z nich atrakcyjne dźwiękowo kompozycje. Niestety, nie starczyło talentu i uporu w zgłębianiu tajników elektronicznego instrumentarium. Łatwiej było opierać się o słodkie wzorce Vangelisa i tworzyć seryjne kawalki do „gibania się”. Dołączenie do ekipy muzyków tej klasy co śpiewający gitarzysta Grzegorz Skawiński ustawiło Kombi z góry na pozycji spalonej.

Być może nigdy nie osiągnęłyby one dużego rozgłosu, gdyby nie mass-media, zapewniające gdańskiemu kwartetowi totalną reklamę i możliwość częstego prezentowania owoców wielogodzinnych „przemysłów”. Efekt zabiegów sponsorów był taki, że Kombi należało do pupilów telewizji lansującej ze szczególnym uporem jego „Wspomnienia z pleneru”, „Przytul mnie”, „Słodka jest noc”, „Kochać cię za późno”, „Słodkiego miłego życia” i inne cukierki. Niejednego krytyka przyprawiały one o niestrawność i cierpienie skóry, lecz rozpedzone koło fortuny kreciło się coraz szybciej. Sporo pobłażania dla lukrowanego kiczu Kombi wykazywali prezenterzy popularnej wśród nastolatków „Trójki”. Piosenki Łosowskiego podbiły serca egzaltowanych pannic, które stały do radia próby o częstą emisję dzieł Kombi. Firma stała się synonimem współczesnych Czerwonych Gitar, urzekających muzyką

lekka, łatwa i mało warta. Nikomu nie przeszkadzało, że grupa wylamala się z nurtu Muzyki Młodej Generacji, pod której sztandarami wkraczała na estradę.

Nie wszystkim poczynaniem „kombinującej” formacji towarzyszył jednak zachwyty i pełny sukces. Sporo w jej historii było niepowodzeń. Dotyczyły one m.in. promocji zagranicznej. Kiedy grupa poczuła się usatysfakcjonowana dowodami sympatii rodzimych nastolatków zapragnęła sukcesów na Zachodzie. Przedsięwzięcie nie było łatwe, więc zaczęto od startu w Szwecji. Niestety, singel z nagraniami „Wspomnienia z pleneru” i „Victoria Hotel”, wytłoczony w mikroskopijnym nakładzie, furory nie zrobił. Nie przebił się też singel nagrany dla holenderskiej firmy Utopia. Nie zrażeni chłopcy z Kombi próbowali sprzedać swe produkty w Anglii. Pomagała im w tym wokalistka znanej grupy Shakatak; niestety również z marnym skutkiem.

Niepowodzenia fonograficzne miały być tuszowane częstymi wyjazdami zagranicznymi i wspaniałymi recenzjami z oświetlających tras koncertowych. Na szczęście nikt nie dochodził, w jakich salach i lokalach koncertowało Kombi w Holandii, Szwecji, Berlinie Zachodnim i Maroku. Przy odrobinie docieklivosti wyszłoby na jaw, że „wspaniałe trasy” były granie do kotleta. Dbając o dobre publicity, opiekun zespołu anonował koncerty Kombi w Stanach Zjednoczonych i udział w kilku filmach, ale plany wzięły jakoś w łeb.

Wielka wrzawa reklamowa towarzyszyła premierze rewelacyjnej — ponoć płyty „Nowy rozdział”. Wytłoczono ją w rekordowym nakładzie, aby równoległe z edycją wręczyć muzykom upragnione złote trofeum. Album okazał się mało strawnym gniotem z drażniącą popisami wokalisty. Wcale nie lepszy okazał się następny dysk grupy „Kombi-4”. Wprawdzie wzięty reżyser Juliusz Machulski nakręcił dwa video-clipy z piosenkami „Black and White” i „Nasze rendez-vous”, często emitowane w obu programach telewizyjnym, lecz i tak nie zmieniło to wymowy artystycznej krząka.

Kombi z uporem maniaka produkuje syntezatorowe słodkości nadające się do podrzędnej dyskoteki. Wybaczyć więc, Czytelnicy, że nie pięję z zachwyty nad jubileuszem podziwianej przez niektórych firmy. Nie wszystko złote, co się świeci.

Istvan Grabowski

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopicowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Marta Denys, Mirosław Detekci, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator), Lidia Wójcik (redaktor techniczny) — Ewa Ojpek (korektor) — Barbara Caban (redaktor naczelny). Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skrótu. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14-18. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Onieka 1. Wytworzone Robotniczą Spółdzielnią Wydawniczą RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 4 tel. 105-30. Adres redakcji: 20-033 Lublin ul. Skłodowska 5/1. Telefony sekretariatu redaktora naczelnego z-ca redaktora naczelnego 105-93, sekretarza redakcji 218-53 dział publicystyki i literacki 273-30. Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-030 Lublin, skrytka pocztowa 531, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

# Krzyżówka nr 21 z szyfrem

Poziomo: A. poeta, piewca Mazowsza • obnizanie się działel, C. zabobon • szyje ubrania • pisarz, autor „Tańczącego jastrzębia”, E. zapasowy koń • pszenne pieczywo • zabezpieczają okna przed włamaniem • styl potęgający wzniosłość, F. duchowny w świątyni islamskiej • wchodzi w skład specjalnych metali • zaczyna alfabet grecki, G. zimowy pojazd • jeden z dwu u marynarki, H. spleźzona woda • przejście do wyższej grupy • najmniejszy w chemii, I. bój • sklejka • grecka bogini mądrości • góry w Mongolii i ZSRR, K. ostry sos pomidorowy • dowódca lotnictwa polskiego, który zginął w wypadku lotniczym w 1938 r. • poeta, współzałożyciel Towarzystwa Filomatów, M. satyryk, humorysta, człowiek ośmieszający innych • oskarżenia do władzy.

Pionowo: 1. przy antenie UKF • żądany przez porywaczy, 2. koncentracja zmysłów, 4. np. Wisła • kiepskie obrazy, 5. woreczek na pieniądze, 7. przybranie • kandydaci zawodu, 8. porozumienia, 9. ptak drapieżny • komórka AK kierująca sabotażem itp., 10. ma być z niego owoc, 11. Włochy • wilczyca, 13. dawna stolica Bułgarii • organ np. zmysłu, 14. roślina lecznicza, 15. słusność • ki-

nowa scena, 16. maszyna obłącznicza, 17. owoc palmy • powoduje hamowanie 19. miasto włoskie znane dzięki powieści Stendhala 20. siano, gdy było żywe • w centrali telefonicznej, 22. pod Babią Górą, 23. przystąpienie • miśny sklep dawniej.

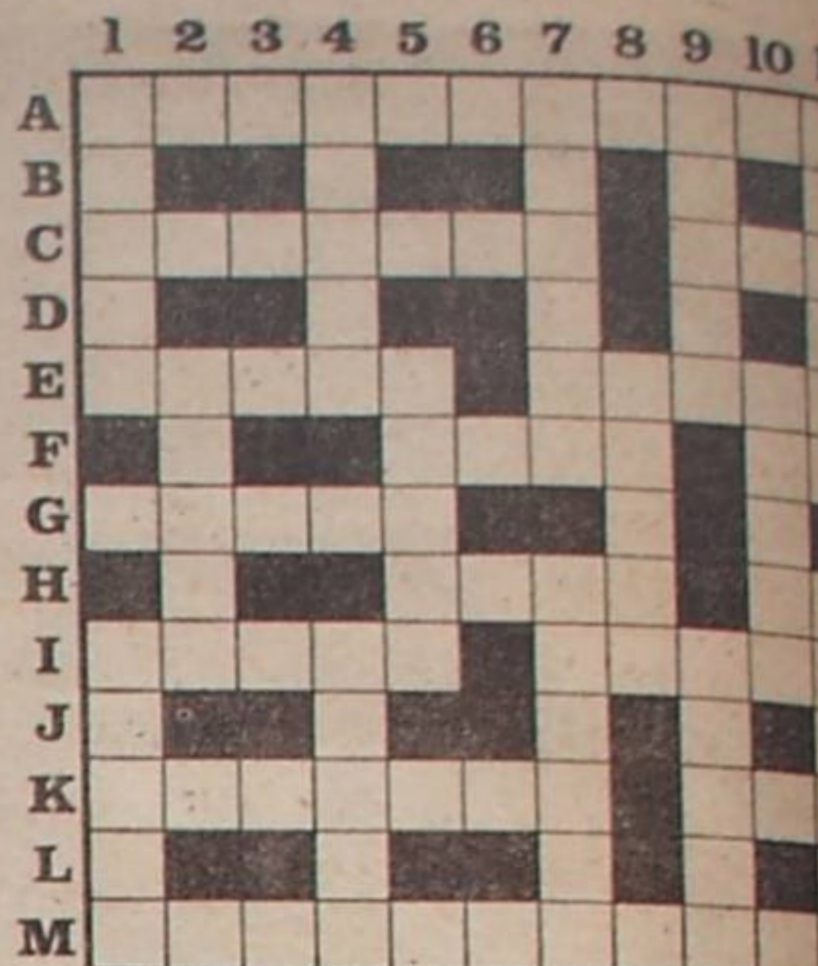
**SZYFR**  
B9, C15, K18, I8 / E5, A20, D9, M2, K14 / H14, E11, G20 / M21, A11, C22 / C12, J4, K9, M3, C6 / C3, E15, A13, K22, M6, G4, M15, A23, D15, J20 / E22 / A9, G8, E7, M7, M20//

**ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 19 Z SZYFREM**  
Poziomo: Stargard, warchlak, republika, fantazja, teleskop, Bar Kochba, Arktyka, powieść, Atos, Kora, Anin, pole, ikra, Ilim, snop, sier, sabotaż, wiśniak, drzeworyt, prawidło, Alpuhara, Zgorzelec, tekstura, antylopa.

Pionowo: Sofia, Sopot, runda, Asnyk, blask, tango, graty, twist, kopia, drab, Als, doza, Antenor, turkus, pieprz, Placcek, stoper, bariery, wata, akr, taca, okapi, czerw, śluzy, Ilion, Lakme, Idaho, śliwa, kopeć, Krata.

**SZYFR**  
Literatura nie zrodzona z inspiracji narodu nie potrafi nikogo inspirować.

Mendele Mojcher Sforim



Nagrodę wylosowali Irena i Mirosław Skibiński ul. Szenwalda 34 m. 35, 20-089 Lublin.

## SPORT

# A jednak szmal!

Henryk Więclawski

**P**EWNEGO wolnego popołudnia po obejrzeniu w telewizji, rozgrywanego w obecności około tysiąca widzów, pojedynku dwóch górniczych gigantów, z tzw. środka tabeli naszej piłkarskiej ekstraklasy, dopadły mnie marzenia. Wyobraziłem sobie hipotetyczną, choć ealkiem realną przecież sytuację, kiedy to, powiedzmy, Promnik Łaskarzew (klasa międzyokręgowa) sięga po Puchar Polski. Wypadki takie zdarzają się i nie tak dawno jeszcze Jadowniczanka Jadowniki zmagala się z Widzewem Łódź, a drugoligowa wówczas Lechia Gdańsk zdobyła owo trofeum i w nagrodę przejechała się do Turynu. Marzenia moje wyrastały więc z przesłanek całkowicie prawdopodobnych. Wybrałem zaś do rozważań Łaskarzew ponieważ: po pierwsze, spodobała mi się nazwa Promnik, mająca w sobie coś radosnego; po drugie — czytałem niegdyś w „Sportowcu” reportaż o tym klubie, który, choć prężny i ambitny, niewiele może zdziałać wobec braku odpowiednich środków na rozwój swojej działalności. Od razu pragnę oświadczyć, że nigdy w Łaskarzewie nie byłem, dalszy zatem ciąg moich rozważań rozgrywa się w kategoriach czystej abstrakcji.

Wyobraziłem więc sobie miłośno zdolnego trenera (powiedzmy: świeżo po warszawskiej AWF), a pozbawionego jakiegokolwiek protekcji, grupę młodych, utalentowanych zawodników, napęczniałych ambicją i ochotą do gry (co wedle sprawozdań prasowych stanowi częstokroć walor wystarczający do odnoszenia sukcesów w naszym sporcie), a na koniec przedsiębiorczego naczelnika gminy, zakochanego bez reszty w futbolu, podobnie jak dyrektor sąsiedniego POM. Dalej wyobraziłem sobie, jak to ów Promnik, śladami wyżej wzmiankowanej Jadowniczanki, pokonuje kolejno przeciwników z ligi międzyokręgowej, potem międzywojewódzkiej, potem byłego drugoligowca, a na koniec jeden ze słabszych zespołów I ligi (wiadomo, „klepsko” w Łaskarzewie nie pozwoliło rozwinąć skrzydeł, a w rewanżu „nasi”, zatroskani o ligowy byt, „odpuścili” Puchar). Jak dotąd, poczucie realizmu nie musiało bynajmniej hamować mojej rozbudzałej wyobraźni.

Widziałem jeszcze radość łaskarzewian, ich wzmocnione poczucie dumy, wielką frajdę dziennikarzy szycujących do swych gazet tytuły tłustym drukiem i działacze centrali zacierających ręce z satysfakcją, iż mogą wpisać do sprawozdania kolejny dowód na „dzianie się” w krajowym piłkarstwie. Zobaczyłem także rząd nowoludkich, błyszczących... rowerów, które w nagrodę za sukces zakupił dla chłopaków naczelnik i dyrektor, załatwiający sobie tylko władowym sposobem talony na te poszukiwane pojazdy. (Dobrze wiem, i to nie tylko z prasy, że istnieją w III lidze kluby, które stać i na opie dla swoich ulubieńców, ale w tej lidze grają przecież także chłopcy z Belchatowa i Rzeszowa, Opola i Jastrzębia, Szczecina i Krakowa. A my tutaj o Łaskarzewie.)

Więść o wyczynie Promnika poszła zatem w świat, czujność społeczna została pobudzona, tylko na samo miasteczko posypały się nagłe kłopoty, nieodmiennie towarzyszące sukcesowi. Trzeba

by bowiem odmalować na stadionie ławki i urządzić funkcjonalną szatnię (odczuwamy tymczasem gwałtowny brak rąk do prostej pracy), sprawić zawodnikom nowe stroje (te lepsze, z centralnego rozdzielnika), sfinansować pobyt gości, których spodziewana liczba mogłaby nawet przekroczyć liczbę stałych mieszkańców, a także obiecać coś znowu piłkarzom, aby się postarali (wiadomo, bez kołaczy nie ma pracy i rowery już nie wystarczą). Tutaj właśnie kariera Promnika w Pucharze musiałaby napotkać swój kres. Koniec ten oznaczałby wszakże zarazem finał egzystencji tego sympatycznego klubu.

Po pierwszym bowiem udanym zagranju napaństwa Iksińskiego trafiliby on do notesów wysłanników odpowiednich moźnych i stanąłby przed trudnym wyborem między stu tysiącami złotych na zagospodarowanie od naczelnika i milionem za przejście do Hutnika Warszawa. Ten sam los spotkałby utalentowanego bramkarza, rosłego stopera, a na koniec i szkoleniowca klubu. Inną jeszcze możliwością byłby wykup całego meczu przez potentata, któremu chłopcy z Łaskarzewa pozostawiliby wdzięczną do śmiereci. Tak zatem umarliby powiew wielkiego sportu w tym miasteczku. Powodem zgonu okazałby się jednak nie brak umiejętności, ambicji i woli walki, a zwykłego szmalu. Możemy bowiem dyskutować, czy pieniądz rządu światem, nikt jednak nie wątpli, iż rządzą on na pewno polskim sportem.

Pamiętam autentyczne emocje, jakie towarzyszyły niegdyś rozgrywkom III ligi w takim Łukowie, Lubartowie, Kraśniku. Pamiętam i tamtą atmosferę. Ze statystyki wiem, że w polskiej I lidze grała swego czasu drużyna pod nazwą 22 pp. Siedlce. Pamiętam, kiedy prawdziwy, wielki sport zaglądał na małe prowincjonalne boiska. Znam miasteczka holenderskie i angielskie, gdzie wielkie kluby na pięknych, kameralnych stadionach grają wielką piłkę. W naszej ekstraklasie tymczasem już po trzech kolejkach spotkał wiadomo było, kto zagra o tytuł, a kto potykał się będzie tylko o pozostanie w lidze. Kilku moźnych potentatów skupujących wszystko utalentowane, co porusza się po polskich boiskach, zdominowało krajową piłkę nożną. I żeby chociaż poszły za tym sukcesy zagraniczne. Wpychane do I ligi dzięki pieniądзом dziesiątki śląskich zespołów grają przy pustych trybunach, a Rzeszów czy Kielce bezskutecznie czekają na swoją szansę.

Zapotrzebowanie społeczne na rozgrywki tej klasy jest, na przykład w Lublinie, wciąż ogromne, a jednak, z braku funduszy na wzmocnienie składu, Motor może już niedługo nie grać w ekstraklasie. Jego miejsce zajmie, dajmy na to, Zagłębie Sosnowiec, którego rekord widzów, mimo reklam telewizyjnych, wynosił 300 osób. Lublinianka egzystuje w III lidze, gdyż ma nieszczęście być klubem wojskowym Warszawskiego Okręgu, gdzie liczy się tylko Legia.

Mówimy, że liga angielska, zachodniemiecka, włoska są silne, ale w takiej Anglii bywa, że szaleje maleńki Wimbledon, a w pozostałych krajach do końca nie wiadomo, kto będzie mistrzem, a

kto wypadnie z gry. Zabito u nas sport w małych ośrodkach, w małych klubkach, gdzie był on częstokroć jedyną godziwą rozrywką miejscowej młodzieży. Szmal obraca futbolówką wszędzie tam, gdzie przemysł, gdzie kombinat, gdzie gigant. Skąd mamy mieć te rzesze młodych chłopców uganających się za piłką na byle skrawku wolnej przestrzeni? I nie jest to bolączka wyłącznie piłki nożnej. Cud, że nie ma u nas ligi kolarskiej, bo czyż tak Szozda lub Mytnik mogliby do końca zawodniczej kariery reprezentować barwy LZS-u? Zachowały się jeszcze na prowincji niedobitki wielkiego sportu: w podnoszeniu ciężarów, akrobatyce sportowej, szachach. Ale wszędzie tam, gdzie liga, gdzie pieniądz, gdzie widownia, słabi nie mają szans. Legia załatwia wbrew wszelkim przepisom, przejście Dziekanowskiego z Widzewa w ciągu zaledwie tygodnia, a Motor drży, czy mu w połowie sezonu zatwierdzą Jaworskiego (Mirosława).

GKKFIS wydał ostatnio nowe przepisy o transferach naszych sportowców za granicę. W ustach Bolesława Kapitana zabrzmiały one surowo i dostojnie, a prezesi moźnych klubów śmiali się w kuliak. I tylko patrzeć, kiedy powtórzy się kolejny casus Bońka i za naprawdę duży szmal przepisy pójda w zapomnienie. Mówi się, że pieniądze z piłkarskich transferów utrzymują pozostałe dyscypliny sportu; oby tylko piłka nożna miała nadal kim handlować!

Placzą działacze, sprawozdawcy sportowi i autentyczną pasjonaci sportu, że upadł polski boks, lekka atletyka, siatkówka, żużel. A gdzie są: Borek i Grubba, Wojdat i Fibak, Tlalkówny, Piasecki i Plech? (by wymienić tylko nazwiska z różnych okresów i o różnej wartości i pominąć już Tłokińskich i Rozborowskich, Wójcickich i Buncoll, Biernatów i Kmleciaków, Skorków i Gawłowskich). Kto ich nauczył kochać szmal i kto ich po prostu sprzedał? I żeby chociaż z zyskiem. Kupieni za zielone grosze, uganają się całkiem dzikarsko po obcych boiskach i ku podziwieniu świata nie ma chyba klubiku w Europie, w którym nie wystąpiłoby polskie nazwisko (czy to aby nie za nimi podążają ku wspaniałej przyszłości uciekinierzy z promów i wycieczek „Orbisu”?). Polski sport został wyprzedany. Nasi piłkarze w Meksyku więcej czasu poświęcają ponoć na rozmowy z wysłannikami zagranicznych klubów niż na trening. Tylko, że po ich występie zabrakło jakos nabywców. Kapitalista nie jest bowiem aż tak głupi, jakby to wynikało z czytanek z czasów młodości.

Dziś tak! Sidió, Szewińska czy Pietrzykowski, walczący o medale dla Polski bez oglądania się na profity, wyglądają jak dinozaury i relikty zamierzchłej epoki. A my czekamy na kolejne olimpiady, mistrzostwa świata i Europy. I głowa do góry, panowie. Gdy zabraknie sukcesów na stadionach, pozostanie jeszcze zawsze telewizyjna reklama; choćby herbatką „Paracelsus”.

„Zibi” także ją pija?